



I. 1460.765

H. G. WELLS

12x17  
154

# KRAINA ŚLEPCÓW

~~N<sup>o</sup> 3746~~

C/388



WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GRODZKIEJ” S-ki z o. odp  
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11

*[Faint, illegible text]*



# BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

S. z. o. o.

Warszawa, ul. Moniuszki 11, Konto P. K. O. 11.143

## WARUNKI PRENUMERATY:

Łącznie z dodatkami dla młodzieży lub magazynem utIP, przy każdej książce, przesyłką pocztową:

kwartalnie (za 13 książek)	Zł. 9 gr. 95,
miesięcznie . . . . .	„ 3 „ 35,
e w oprawach . . . . .	„ 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja Biblioteki Groszowej.



I. 1460.765




Ilustrowane katalogi gratis i franko.

Znak 55 groszowego Wydawnictwa, prawnie zarejestrowany i posiadownictwa będą sądownie ścigane.

Nr. kompletu	C 1
Znakmiejsca	766
Nr. inw.	102.66

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Warszawska 59a.



## KRAINA ŚLEPCÓW

O trzy tysiące mil od Chimborazo, o sto mil od śniegów Cotopaxi, w najdzikszym łańcuchu podzwrotnikowych Andów znajduje się tajemnicza dolina—Kraina Ślepców. Niegdyś dolina owa dostępna była dla ludzi: po przewyciężeniu straszliwych gran i lodowej przełęczy, udawało się dotrzeć do odległych hal. Kilka rodzin metysów peruwjańskich ukryło się tam przed okrucieństwem i tyranją hiszpańskich władców. Wkrótce potem nastąpił tu przerażający wybuch Mindohamby, który na siedemnaście dni pograżył Quiho w ciemnościach; woda wrzała w strumieniach Yagnachi, a ryby pływały martwe, aż po Guayaquil. Na całym zbocz górskim, od strony oceanu Spokojnego waliły się skały, obrywały lawiny, burzyły się roztopi i nagłe powodzie, a cały łańcuch starej Arancai obsunął się i zawałił z hukiem tysiąca piorunów, odcinając Krainę Ślepców od świata.

Podczas tego straszliwego wstrząsu świata, jeden z pierwszych osadników tej doliny znajdował się właśnie po przeciwnej stronie łańcucha górskiego. Nie mogąc odnaleźć zawałonego przejścia, zmuszony zapomnieć o żonie, dzieciach, przyjaciółach i dobrach, które posiadał po tamtej stronie, roz-

począł nowe życie na nizinie. Po pewnym czasie rozchorował się i oślepił, i aby się od niego uwolnić, zesłano go do kopalni, gdzie umarł samotnie. Historia jego dała początek legendzie, która trwa na przestrzeni Kordyljerów i Andów do dnia dzisiejszego.

Opowiadał on, czemu porzucił bezpieczne schronienie i kraj, dokąd przybył dzieckiem w węzłku łachmanów, na grzbiecie lamy.—Dolina—mówił—posiadała wszystko, o czym można było zamarzyć—słodką wodę, pastwiska, klimat łagodny i glebę żyzną, brunatną, na której drzewa rodziły doskonałe owoce. Zbocze górskie, porośnięte lasem pinii, chroniło od lawin. Z trzech innych stron otaczały dolinę wielkie zwały szarzielonych skał, pokrytych wiecznym śniegiem. Podczas roztopów, wody z lodowca spływały zdaleka innemi zboczami, a czasem tylko wielkie zwały lodowe obsuwały się po zboczu, chroniąc dolinę. Nie padał tam nigdy deszcz ani śnieg; tylko wartkie strumienie zasilają bujne, zielone pastwiska, nawadniając całą przestrzeń doliny. Osadnikom było tam świetnie. Bydło chowało się i mnożyło, a jedna tylko troska mąciła szczęście gospodarzy. Wystarczała, zresztą, aby popsuć wszystko. Naszła ich dziwna choroba, która przyprawiała wszystkie dzieci nowonarodzone, a nawet niektóre starsze o ślepotę. Właśnie dla zwalczania tej plagi, zdobycia jakiegoś antidotum czy czaru, naraził się ów przybyły na trudy i niebezpieczeństwa dalekiej drogi. W tych czasach ludzie nie wiedzieli nic o zarazkach chorobotwórczych ani o infekcjach. Zdawało się im, że to kalectwo wynikło z winy pierwszych imigrantów, którzy przybyli tu bez księdza i nie postawili ołtarza w dolinie. Pragnął więc wysłannik zdobyć ołtarz, piękny, wspinały i nie nazbyt drogi; potrzebne mu były



relikwie i inne wszechmocne symbole wiary: meda-  
liki tajemnicze i modlitwy. W sakwach miał ze so-  
bą sztabę rodzinnego srebra, którego pochodzenia  
nie chciał wyjaśnić; z uporem niedoświadczonego  
kłamcy twierdził, że tego metalu nie było w doli-  
nie. Wszyscy mieszkańcy stopili swoje pieniądze  
i ozdoby — opowiadał — gdyż nie potrzebowali ich  
tam, w górach, i dali mu, ażeby zakupił święte środ-  
ki przeciwko strasznej chorobie. Można sobie wy-  
obrazić tego młodego górala, o zaciemnym już wzro-  
ku, ogorzałego, niespokojnego, przestępującego  
z nogi na nogę. Górala, co nie znał obyczajów ni-  
żynnych, co kręcąc czapkę w rękach, opowiadał  
bystrookiemu, uważnemu księdzu swoją historję.  
Można sobie wyobrazić, jak chcąc powrócić do  
kraju, zaopatrzony w pobożne i niechybne lekar-  
stwa, przyglądał się z niewypowiedzianą rozpaczą  
chaosowi spiętrzonych złomów w miejscu, w któ-  
rem ongiś było ujście gardzieli skalnej. Nie wiem  
nic więcej o dalszych nieszczęściach przybysza,  
słyszałem tylko o jego nędznej śmierci. Biedny  
zblakaniec umarł zdala od swoich!

Gorączkowe opowiadania biedaka dały począ-  
tek legendzie o rasię ślepych ludzi. Można tę baśń  
usłyszeć i dzisiaj.

Wśród zapomnianej i oderwanej od świata lud-  
ności straszliwa choroba szerzyła się nieustannie.  
Starym wzrok tak osłabł, że chodzili poomacku,  
młodzi widzieli, ale mętnie, dzieci były zupełnie  
ślepe. Życie jednak w tym otoczonym śniegami ba-  
senie górskim było łatwe, bez cierni i głogów, bez  
jadowitych owadów i drapieżnych zwierząt, pośród  
łam łagodnych, sprowadzonych tu ongiś łożyskami  
potoków przez pierwszych osadników. Ci, którzy  
widzieli, ślepli tak powoli, że ledwo sobie zdawali  
sprawę z tego nieszczęścia. Służyli oni za przewod-

ników pozbawionym wzroku dzieciom, które w ten sposób poznawały doskonale całą dolinę. Wreszcie dar widzenia zatracił się zupełnie. Ludzie mieli dość czasu, aby przywyknąć do obchodzenia się bez oczu z ogniem, który podtrzymywali starannie w piecach z kamienia. Byli to prości ludzie, analfabeci, ze śladami cywilizacji hiszpańskiej, przecho- wujący tradycje artystyczne i zapomnianą filozofję dawnego Peru. Pokolenia przeminęły za pokolenia- mi. Zapomniały wielu rzeczy; wiele nowych wynal- ązy. Wspomnienie o wielkim świecie, z którego przybyły, stało się niejasne, niemal mityczne. We wszystkich pracach, nie wymagających wzroku, byli ci ludzie, wytrwali i zdolni, a przypadek, rządzący z dziedziczością, sprawił, że znaleźli się wśród nich ktoś, obdarzony oryginalnym umysłem i darem wy- mowy i perswazji, po nim przyszedł inny. Ci dwaj przeminęli, ale wpływ ich pozostał. Małe społeczeń- stwo wzrastało w liczbę i w inteligencję i wreszcie poczęło rozwiązywać nasuwające się zagadnienia socjalne i ekonomiczne. Pokolenia przemijały za pokoleniami. I nadszedł czas, kiedy urodziło się dziecko z piętnastego pokolenia, wywodzącego się od owego przodka, który wywedrował z doliny ze sztabą srebrną w poszukiwaniu Boskiej pomocy— i więcej nie wrócił. W tym to czasie do małej społeczności przybył człowiek z dalekiego świata. I to będzie właśnie historia owego człowieka.

Był to górął z okolic Quiho; w życiu swoim widział kawał świata, dotarł aż do morza, czyty- wał książki i słynął z umysłu przenikliwego i wiel- kiej przedsiębiorczości. Wycieczka Anglików, przy- była pod równik, aby zbadać niektóre szczyty An- dów, zabrała go ze sobą w charakterze przewod- nika, zamiast trzech Szwajcarów, którzy zachoro- wali po drodze. Poczęli wdrapywać się razem na

góry, tu i tam, aż wreszcie postanowili wejść na szczyt Parascohopetlu-Matterhornu andyjskiego. W czasie tej właśnie wycieczki przewodnik dostał się do innego świata. Historję wypadku opisywano ze dwanaście razy. Relacja Pointera okazała się najlepszą. Opowiada on, jak turyści, po przezwyciężeniu niebezpiecznej drogi, stanęli na krawędzi ostatniej, najgłębszej przepaści, jak zbudowali na noc schronisko ze śniegu w kolebie górskiej i wreszcie opisuje tę tragiczną chwilę, kiedy nagle spostrzegli, że Nunez znikł. Poczęli nawoływać — nie było odpowiedzi; nawoływali tak i gwizdali przez resztę nocy, która minęła bezsennie.

O świcie trafili na ślady. Zrozumieli wreszcie czemu Nunez nie odpowiadał na ich wołania. Okazało się, że ześlizgnąwszy się po wschodniem, niezbadanem dotychczas, zboczu góry, poleciał wdół po śnieżnym upłazie, gdzie wyłobił ciałem swem głęboką bródę. Upadek jego wywołał lawinę. Ślad Nuneza gubił się na krawędzi straszliwej przepaści, a dalej nie już nie było widać. Daleko, daleko wdole, majaczyły we mgłę, jakgdyby drzew zarysy, w zamkniętej, wąskiej dolinie. Ale turyści nie zdawali sobie sprawy, że to jest właśnie zapomniana przez świat Kraina Ślepców, nie wyróżniająca się zresztą zoddali niczem szczególnem. Przygnębieni nieszczęściem, wyrzekli się tego popołudnia dalszego zdobywania szczytów i Pointer musiał zejść zpowrotem, rezygnując z dalszych prób. Do dziś dnia Parascohopetl wznosi dumnie swój niezwyciężony szczyt, a schronisko Pointera, nie odwiedzane przez nikogo, zawałiło się w śnieg.

Góral, który spadł do przepaści, uszedł cało.

Obsunął się po zboczu z wysokości tysiąca stóp i otoczony chmurą śniegu, leciał po stromej pochyłości z upłazu na upłaz. Toczył się, ogłuszony i bez

czucia, ale z całymi kośćmi; dostał się wreszcie na płaszczyznę i zatrzymał tu, otoczony zwałami śniegu, który uratował mu życie. Kiedy odzyskał przytomność i zdał sobie sprawę z sytuacji, zaczął wygrzebywać się ze śniegu i wreszcie zobaczył gwiazdy. Przez pewien czas leżał na brzuchu, zastanawiając się, gdzie jest i co się z nim stało. Zbadał całość swoich członków i stwierdził, że postradał większość guzików, a kurtka owinęła mu się dokoła głowy. Nóż wypadł z kieszeni, a kapelusz zaginął bez wieści, choć wiązał go stale pod brodą. Przypomniat sobie ostatnią chwilę przed upadkiem: szukał kamieni dla podparcia schroniska. Zgubił też gdzieś swój czekan.

Zrozumiał wreszcie, że spadł z góry, i podnosząc głowę, przyjrzał się przestrzeni, którą przeleciał — wydawała się jeszcze bardziej olbrzymią w bladym świetle księżyca. Z rozszerzonymi oczyma badał straszliwe, białawe urwisko, wylaniające z ciemności swój przygniatający zwał. Tajemnicze, fantastyczne piękno tej skały ścisnęło mu serce; nagle wstrząsnął nim paroksyzm śmiechu i łkania...

Po dłuższym upływie czasu zdał sobie sprawę, że leży na krawędzi śniegowego pola. Wdole, poniżej łagodnego zbocza, oświetlonego jasno księżycem, zauważył ciemne, rozsiane plamy, jakgdyby hale. Powstał z wysiłkiem, opanował zbolące członki, zsunął się ostrożnie ze śniegu i podążył w kierunku łąk. Tam zwałił się do snu pod skałą, osuszył butelkę, którą znalazł w kieszeni, i zasnął natychmiast.

Obudził go śpiew ptaków.

Usiadł i zaczął się rozglądać. Był na niewielkiej wyżynie, stanowiącej dno rozległej przepaści, ograniczonej złomami, po których stoczył się wczoraj wraz z lawiną. Przed nim wznosił się aż do nieba

mur skalny. Gardziel górska ciągnęła się między temi ścianami z zachodu na wschód; w tej chwili pełna była blasku wschodzącego słońca, które zalewało światłem wysoką górę, zamykającą ujście doliny. Za Nunezem widniało urwisko i przepaść. Jedna z rozpadlin tworzyła komin, o ścianach, ociekających roztałym śniegiem, którądy z wielką trudnością można się było spuścić wdół. Zejście okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał; wkrótce stanął na niższej, równie pustej platformie skalnej, zjechał wdół po piargach i stanął na zboczu, porośniętem drzewami. Zastanowiwszy się chwilę, poszedł w kierunku najbardziej wzniesionej części doliny, gdyż zdaleka dojrzał coś nakształt kamiennych siedzib ludzkich niezwykłego kształtu.

Posuwał się naprzód niezmiernie powoli; wkrótce słońce przestało oświetać dolinę, ptaki ucichły, powietrze ochłodziło i uczyniła się ciemność zupełna. Odległa dolina i domostwa ludzkie stały się przez to jeszcze bardziej ponętne. Nunez znajdował się wciąż na pochyłości, ale pomiędzy skałami zauważył—był to człowiek spostrzegawczy—nieznany mu dotychczas rodzaj paproci, wychylającej z rozpadlin liście, nakształt chciwych, zielonych rąk. Wyrwał kilka łodyg, pożał—i to go wzmocniło.

Okolo południa spuścił się nareszcie w dolinę, zalaną słońcem. Był wyczerpany i spragniony; siadł więc w cieniu skały, napełnił swą manierkę wodą ze strumienia i wypił ją do dna. Odpoczywał przez czas dłuższy, zanim ruszył w drogę ku domostwom.

Siedziby te wydawały mu się bardzo dziwne, a kiedy się baczniej przyjrzał, to spostrzegł, że cała dolina wygląda szczególnie i niezwykle. Powierzchnia jej była pokryta wspaniałemi, bujnymi łąkami o przepięknych kwiatach. Łąki te, umiejętnie nawodnione, świadczyły o systematycznej kul-

turze rolnej. Dookoła doliny biegła ściana, u której stóp wyżłobiony był kanał, a z niego wypływały odnogi, zasilające wodą łąki. Wyżej, na zboczach, stada lam pasły się spokojnie. W rzadkich odstępach widniały daszki na palach, najwidoczniej służące za szałasys dla bydła. Wszystkie strumienie wpadały do szerokiego kanału, płynącego środkiem doliny. Ograniczony był z każdego brzegu cembrowaniem metrowej wysokości. To wszystko nadało osadzie charakter dziwnie miejski, tem bardziej, że przecinała ją mnóstwo dróg, wyłożonych czarnymi i białymi kamieniami. Drogi te, obramowane szczególnym chodnikiem, biegły w równych odstępach i krzyżowały się regularnie. Układ domów nie przypominał w niczem nieporządnym, nagromadzonych bezładnie chałup w wioskach andyjskich. Stały one nieprzerwanym szeregiem z obu stron głównej ulicy, zdumiewającej czystości. Na tle kolorowych fasad widniały tu i owdzie drzwi, ale ani jedno okno nie przerywało monotoni ścian. Fronty domów, barwione z dziwną nieregularnością, pociągnięte były rodzajem gipsu, czasem czarnego, czasem brązowego, jak się da, czasem też widniały na nich plamy ceglaste albo szarawe. I od razu na widok tych dziwacznych ozdób przyszło góralowi na myśl słowo: „ślepi”.

...Zuch, który to wszystko uczynił — pomyślał — musiał być ślepy, jak kret!

Szedł po ostatniej pochyłości i zatrzymał się w niewielkim oddaleniu od ściany i kanału, okrążającego dolinę, tam, gdzie nadmiar wody spadał w niewielką, drżącą siklawę, spływającą później do ujścia gardzieli skalnej. Spostrzegł stamtąd kilka osób, spoczywających na sianie, rozrzuconem po łąkach, a bliżej wsi — leżące na trawie dzieci.

Najbliżej miejsca, gdzie znajdował się Nunez,

trzech mężczyzn z wiadrami, uczezionymi u jarzma, które nieśli na ramionach, zmierzało drogą, prowadzącą od mura w kierunku grupy tubylców. Ludzie ci byli odziani w sukno z szerści lam, buty i pasy mieli ze skóry, a czapki—opatrzone nausznikami. Szli gęsiego, powoli, ziewając, jakgdyby byli niewyspani. Wygląd ich budził zaufanie i szacunek, znać było, że są zamożni, więc, po chwili wahania, Nunez stanął na skale, w miejscu najbardziej widocznym, i krzyknął głośno, aż echo odpowiedziało z krańców doliny.

Trzej mężczyźni zatrzymali się i poczęli poruszać głowami, jakgdyby rozglądając się dookoła. Zwracali twarze w różne strony, a Nunez machał rękami, co sił. Oni jednak zdawali się nie dostrzegać jego gestów i po chwili, zwróciwszy się w przeciwnym kierunku, wykrzyknęli tylko coś w odpowiedzi. Nunez począł wrzeszczeć znowu i widząc, że jego gesty nie odnoszą skutku, po raz drugi pomyślał słowo: „ślepi”.

„Ci idjoci chyba są ślepi — powiedział sobie.

Kiedy wreszcie po wszystkich tych krzykach i gniewie Nunez przeszedł przez kanał po mostku, prowadzącym do furty w murze, i podszedł do trzech tubylców, skonstatował, że istotnie są ślepi. Wtedy zyskał pewność, że znajduje się w Krainie Ślepców, o której głosiła legenda. To przekonanie wywołało w nim radosne poczucie niezwykłej i godnej pozazdroszczenia przygody.

Trzej ludzie, stojąc przy sobie, nie patrzyli w stronę, skąd nadchodził, ale natężali słuch i widać było, że zdawali sobie sprawę z nieznanego im odgłosu kroków. Przysuwali się do siebie gestem przestrachu, a Nunez obserwował ich zapadnięte powieki, pod którymi, zapewne, już zanikły gałki oczne. Twarze ślepców wyrażały niepokój.

— Człowiek—rzekł jeden z nich, w języku, który słabo przypominał hiszpański. — To jest człowiek... człowiek albo duch, zstępujący ze skał..

Nunez podszedł do nich ufny krokiem młodości, wstępującej w życie. Przypomniały mu się wszystkie stare historie o Krainie Słepców, a w myślach jego zadźwięczało nakształt natrętnego refrenu przysłowie: „Pośród ślepców—jednoocy są królami”.

Uklonił się bardzo uprzejmie. Począł mówić, patrząc na nich bystro.

— Skąd on przyszedł, bracie Pedro? — zapytał któryś.

— Z góry, ze skał.

— Przychodzę z tamtej strony gór—powiedział Nunez—z kraju, gdzie ludzie widzą. Z okolic Bogoty, którą zamieszkuje sto tysięcy ludzi; z miasta, którego nie można ogarnąć wzrokiem.

— Wzrokiem? — zamruczał Pedro. — Wzrokiem?

— On przyszedł ze skał — powiedział drugi.

Nunez przyglądał się dziwnemu krojowi ich ubrań.

Ślepcy wyciągnęli nagle ręce i poczęli gwałtownie wymachiwać niemi przed przybyszem. Nunez cofnął się przed temi zachłannemi palcami.

— Chodź tutaj—rozkazał trzeci ślepiec, podchodząc blisko.

Wszyscy trzej pochwycili Nuneza i poczęli go macać, nie mówiąc słowa.

— Ostrożnie! — zawołał Nunez, kiedy mu wpałowali palec do oka.

Niewątpliwie, ten organ z ruchomemi powiekami wydał im się czemś niepojętem. I znów poczęli go dotykać biegającymi palcami.

— Dziwne stworzenie, Correa! — zadecydował ten, który na imię miał Pedro. — Czujesz, jak jego włosy są twarde. Jak szerść lamy.



— Jest szorstki, jak kamienie, z których pochodzi—odpowiedział Correa, badając niegolony podbródek Nuneza ręką miękką i trochę wilgotną.—Być może, kiedyś się wysubtelni.

Nunez chciał się wyswobodzić z ich rąk, ale przyrzyszali go mocniej.

— Ostrożnie!—powiedział znowu.

— Mówi—zauważył trzeci.—To jest na pewno człowiek.

— Ach!—mruknął Pedro, dotykając szorstkiej kurtki Nuneza.—Więc przyszedłeś do świata?

— Przyszedłem *ze świata*. Z za gór i lodowców, byłem na szczycie, w pół drogi do słońca. Przychodzę z szerokiego świata, z którego jest jeszcze dwanaście dni drogi do morza.

Zdawali się go nie słuchać.

— Ojcowie nam mówili, że ludzi tworzy siła przyrody—powiedział Correa—powstali z ciepła, wilgoci i rozkładu—gnicia...

— Zaprowadzimy go do starszyny—poradził Pedro.

— Krzyczcie najpierw—zauważył Correa—żeby dzieci się nie wystraszyły. To jest niezwykły wypadek.

Krzyknęli też parę razy, poczem Pedro poszedł pierwszy w kierunku domów, prowadząc Nuneza za rękę.

Góral usunął dłoń swoją:

— Ależ ja widzę—powiedział.

— Widzę?—zapytał Correa.

— No tak, widzę—potwierdził Nunez, obracając się doń i potykając o wiadro Pedra.

— Jego umysły są niedoskonałe—rzekł trzeci ślepiec.—Potyka się i mówi niezrozumiałe słowa. Weź go za rękę.

— Jak chcecie—zgodził się Nunez ze śmiechem.

Było jasne, że ci ludzie nie rozumieli poprostu, co to jest wzrok.

Nie szkodzi, kiedy czas przejdzie już on im objaśni.

Postyszał ze wszystkich stron nawoływania i ludność poczęła się zbierać gromadą na głównej ulicy wioski.

Nerwy i cierpliwość Nuneza zostały wystawione na cięższą próbę, niż się tego spodziewał podczas tego pierwszego spotkania z ludnością Krainy Ślepców. Osada okazywała się coraz większa, w miarę, jak się do niej podchodziło, a dziwne ozdoby na murach—coraz bardziej cudaczne. Tłum mężczyzn, kobiet i dzieci—Nunez zauważył z przyjemnością, że kobiety mają miłe twarze, pomimo zamkniętych powiek i pustych orbit—otoczył go, wachając, dotykając miękkimi, czułymi dłońmi, przysłuchując się każdemu jego słowu. Część dziewcząt jednak i dzieci trzymała się nauboczu; rzeczywiście, jego głos wydawał się gruby i chropawy w porównaniu z ich mową, łagodną i śpiewną. Dotykano się go ze wszystkich stron. Trzej przewodnicy trzymali się blisko, pełni poczucia własności w stosunku do przybysza, i powtarzali:

— Dziki człowiek ze skał...

— Z Bogoty—powiedział Nunez—Bogota! Z drugiej strony gór.

— Dziki człowiek używa dzikich słów—wyjaśnił Pedro.—Słyszycie? Bogota! Jego umysł jest bardzo prymitywny. To są rudymenty mowy ludzkiej.

Jakiś chłopczyk uszczypnął rękę Nuneza.

— Bogota!—zawołał ze śmiechem.

— Aj! Bogota—to jest miasto w porównaniu z waszą osadą. Przychodzę z wielkiego świata, gdzie ludzie mają oczy i widzą.

— Bogota mu na imię—odrzekli.

— Potknął się! — zawołał Correa — potknął się dwa razy, nimeśmy tutaj przyszlil

— Zaprowadźcie go przed starszyznę!

Wepchnęli Nuneza nagle w drzwi, prowadzące do izby, ciemnej, jak piwnica, choć w głębi płonął słaby ogień. Cała gromada weszła za nim, zasłaniając zupełnie światło dzienne. Góral, popychany przez wszystkich, przewrócił się, jak długi, potknąwszy się o nogi jakiegoś siedzącego człowieka. Jego ramię przytem uderzyło w twarz innego; poczuł stłoczoną masę twarzy, usłyszał krzyk przestachu i przez chwilę szarpał się wśród setek rąk, które go zewsząd pochwyciły. Walka była nierówna. Nunez zdał sobie sprawę z sytuacji i stanął spokojnie.

— Upadłem — objaśnił. — Nic nie widzę w tych egipskich ciemnościach.

Uczyniła się cisza, jakby ci wszyscy, niewidzialni w mroku ludzie chcieli zrozumieć sens tych słów. Potem rozległ się głos Correa:

— To jest istota niedokształcona. Chwieje się, chodząc, a mówiąc, używa słów niezrozumiałych.

Inni też zaczęli o nim mówić coś, co słyszał i rozumiał niedokładnie.

— Czy mogę usiąść? — zapytał po chwili. — Nie będę więcej z wami walczył.

Naradzili się i pozwolili mu powstać.

Głos jakiegoś starca zaczął zadawać pytania i Nunez objaśniał starszyźnie Kraju Ślepców z jakiego to świata przyszedł: mówił o niebie, górach, darze wzroku i innych cudach. Ale oni nie rozumieli i nie wierzyli niczemu — rzecz ta przechodziła jego pojęcie. Nie rozumieli także większości słów, których używał. Od czternastu pokoleń lud ten był ślepy i odcięty od widzialnego świata; nazwy rzeczy widzialnych zaginęły lub uległy prze-

mianom; wiadomości o szerokim świecie przeszły do rzędu dziecinnych bajeczek; mieszkańcy doliny przestali się zajmować wszystkim, co leżało poza granicą muru, otaczającego dolinę. Genjalni ślepcy narodzili się wśród nich; odrzucili strzępy dawnych wierzeń i tradycji, datujących się z czasów, kiedy ich przodkowie jeszcze widzieli; uważali je, jako bezwartościowe fantazje i zastąpili nowym, zdrowszym poglądem na rzeczy. Wraz z utratą wzroku zanikła w ślepcach część ich wyobraźni; natomiast wytworzyli sobie cały zastęp nowych pojęć, związanych ze zmysłami słuchu i dotyku. Zwolna Nunez zdał sobie sprawę, że jego pochodzenie, dar wzroku, znajomość cudów świata—nie zjedną mu wcale szczególnego uznania. A kiedy potraktowano jego nieudaną próbę wytłumaczenia czem jest wzrok, jako mętną wersję niedokształconej istoty ludzkiej, usiłującej nieudolnie opisać swoje indywidualne uczucia—Nunez zrezygnował, trochę zmieszany, i począł zkołei słuchać wykładu ich nauki. Najstarszy ze ślepców zapoznał go z poglądami na życie, religję i filozofję. Wyjaśnił mu—mając na myśli Krainę Ślepców—że świat był ongiś pustem zagłębieniem w skałach, że zjawiły się w nim początkowo przedmioty nieożywione, którym brakło umysłu dotyku, a potem—lamy i inne stworzenia, które posiadają ledwo zaczątki inteligencji, wreszcie—ludzie, a wkońcu—anioły, które się poznaje po śpiewie i szeleście skrzydeł, gdyż nie dają się dotknąć nikomu. Intrygowało to Nuneza, póki nie pomyślał o ptakach.

Starzec opowiedział przybyszowi, że czas dzieli się na dwie pory: ciepło i zimno—co równało się u ślepców dniowi i nocy—i że jest dobrze spać podczas ciepła, a pracować w zimnie, tak, że obecnie, gdyby nie jego przybycie, cała ludność byłaby po-

grażona we śnie. Wyraził wreszcie przekonanie, że Nunez został specjalnie stworzony poto, ażeby posiadać mądrość, nagromadzoną przez przodków tu-tejszych mieszkańców. Nie powinien się więc zniechęcać z powodu swojej niższości umysłowej i chwiejnego kroku, lecz starać się kształcić i poznawać miejscowe obyczaje. Zebrany tłum niejasnym pomrukiem wyraził słowom tym uznanie. Na zakończenie, starzec zaznaczył, że pora jest spóźniona—bo ślepi nazywają dzień nocą—i że należy iść spać. Zapytał jeszcze Nuneza, czy potrafi spać, na co Nunez dał twierdzącą odpowiedź, ale wyraził chęć zjedzenia czegoś przed snem.

Przyniesiono mu pożywienie: mleko lamy w kubku i czerstwy, solony chleb; zaprowadzono go w ustronne miejsce, gdzieby odgłosy jego mlaskania nie dobiegały uszu ślepców i gdzieby mógł spać spokojnie, póki chłód, zstępujący z gór, nie obudzi mieszkańców do pracy. Ale Nunez nie mógł spać.

Usiadł na miejscu, gdzie go ślepcy pozostawili, i odpoczywając, przebiegł myślą nieprzewidziane przygody, których tu doznał.

Co pewien czas wybuchał śmiechem, rozbawiony lub zagniewany.

...Niedokształcony umysł! —powtarzał.—Niewy-subtelnione umysły! Te kaleki nie zdają sobie sprawy, że obrażają swego władcę i pana, zesłanego im z nieba. Widzę, że będę musiał przyprowadzić ich do rozumu. Zastanówmy się... zastanówmy się...

Rozmyślał jeszcze, kiedy słońce zaszło.

Nunez był wrażliwy na piękno, więc przyglądał się z zachwytem grze światła na polach śnieżnych i lodowcach, otaczających dolinę—najpiękniejszy to widok na świecie. Oczy jego przeniosły się z tych niedostępnych, wspaniałych szczytów na osadę ślep-

ców i nawodnione pola, gdzie zstępował mrok, i nagle poczuł gwałtowne wzruszenie. Począł dziękować Bogu z całego serca za to, że zachował mu wzrok.

Usłyszał nagle głos, nawołujący go od strony wioski:

— Hop, hop! Bogota! Chodź tutaj!

Powstał, uśmiechając się do siebie. Chciał pokazać wreszcie tym ludziom, jakie przysługi oddaje wzrok. Będą go szukali, ale nie znajdą.

— Czy nie masz zamiaru ruszyć się z miejsca, Bogota?—zapytał głos.

Nunez zaśmiał się skrycie i zszedł z drogi na czubkach palców.

— Nie depcz trawy, Bogota! Nie wolno!

Nunez nie słyszał szmeru własnych kroków. Zatrzymał się, zdumiony.

Właściciel głosu biegł do niego po dziwacznym bruku.

Nunez wstąpił znowu na chodnik.

— Jestem—powiedział.

— Dlaczegoś nie przyszedł, kiedym cię wołał?—zapytał ślepy, — Czy trzeba cię prowadzić, jak dziecko? Czy nie słyszysz chodnika, kiedy chodzisz?

Nunez roześmiał się.

— Ależ ja go widzę—odpowiedział.

— Niema takiego słowa: „widzę” — rzekł ślepy po namyśle.—Daj spokój temu głupstwu i chodź za mną, tam, gdzie będziesz słyszał moje kroki.

Nunez poszedł za nim, trochę zagniewany.

...Mój czas nadejdzie — pomyślał.

— Nauczysz się wszystkiego—zapewnił go ślepiec—trzeba się wielu rzeczy nauczyć na świecie.

— Czy nikt wam dotychczas nie powiedział, że w kraju ślepych—jednoocy są królami?

— Co to znaczy: „ślepych”? — zapytał tubylec niedbale, przez ramię.

Minęły cztery dni, a piątego, pseudokról ślepców zachowywał ciągle incognito i żył pośród swoich poddanych, jako niezręczny i niepotrzebny przybysz.

Ogłoszenie własnego panowania okazało się dla Nuneza znacznie trudniejszym, niż przypuszczał, wciąż więc obmyślając zamach stanu, robił, co mu kazano, i uczył się zwyczajów i obyczajów Krainy Ślepców. Uważał, że chodzenie i praca po nocy jest pomysłem ogromnie niewygodnym i zadecydował, że przedewszystkiem ten właśnie zwyczaj zniesie.

Ślepcy wiedli życie proste, pracowite, pełne cnót i bardzo szczęśliwe. Pracowali, ale nie pod przymusem; mieli dość pożywienia i ubrania, jak na swoje potrzeby; ustanowili dni i okresy dla wypoczynku; wiele śpiewali i grali; kochali się i mieli dzieci.

Z niepojętą zręcznością i precyzją poruszali się w swoim zorganizowanym świecie. Wszystko tam było przystosowane do ich potrzeb: drogi przecinały się zawsze pod tym samym kątem i różniły się między sobą specjalnymi rowkami w chodnikach; wszystkie nierówności i przeszkody na polach i łąkach zostały oddawna usunięte. Obyczaje i sposób życia mieszkańców ułożyły się w ścisłym związku z ich potrzebami. Zmysły ich wydoskonaliły się niezwykle, tak, że słyszeli z odległości dwunastu kroków najmniejszy ruch innego człowieka—słyszeli nawet bicie jego serca. Intonacja głosu zastąpiła mimikę, a dotyk—gesty; obchodzili się z motyką, łopatą czy grabiami, jak najbardziej doświadczeni ogrodnicy. Powonienie mieli niezwykle subtelne; odróżniali różnice indywidualnych zapachów

z łatwością psa. Hodowali stada lam, które pasły się między skałami i podchodziły aż do muru, otaczającego osadę, gdzie je karmiono i zamykano w szałasach.

Chcąc wykorzystać przewagę swego wzroku, Nunez zorientował się dopiero, jak dalece pewne i niepodlegające wahaniu są ruchy tych ślepców.

Zbuntował się jednak, gdy spostrzegł, że perswazje jego nie odnoszą skutku.

Próbował początkowo opowiadać im o darze wzroku.

— Słuchajcie, ludzie!—opowiadał.—Są we mnie pewne rzeczy, których wy nie możecie zrozumieć.

Zdarzało się czasem, że ślepcy zwracali uwagę na jego słowa: siedząc ze spuszczonej głowami, kierowali bacznie uszy w jego stronę, a on starał się, jak mógł, objaśnić, co to jest wzrok. Szczególnie usiłował przekonać pewną młodą dziewczynę, której powieki były mniej czerwone i zapadnięte, niż u innych, do tego stopnia, że czasem zdawała się tylko kryć spojrzenie. Nunez opowiadał o pięknie, do którego zbliża wzrok, o widoku gór, nieba i wschodzącego słońca, a słuchacze uśmiechali się, najpierw niedowierzająco, a potem z niechęcią. Odpowiadali, że niema wogóle żadnych gór, że za skałami, gdzie pasą się lamy, kończy się świat; że tam właśnie opierają się krawędzie wklęsłego dachu wszechświata, z którego opada deszcz i lawiny; a kiedy Nunez twierdził gorąco, że wszechświat nie posiada ani granic, ani dachu, słuchacze oznajmiali, że poglądy jego są bezbożne. Niebo, chmury, gwiazdy, które im opisywał, wydawały im się okropną pustką, straszliwą nicością w miejscu, gdzie powinno być gładkie sklepienie—był to bo-



wiem jeden z ich artykułów wiary, że wkleśły sufit wszechświata jest gładki i przedziwnie słodki w dotknięciu. Nunez zrozumiał, że słowa jego ich gorszą, i zaprzestał dyskusyj. Usiłował już im udowodnić choćby praktyczną wartość wzroku. Pewnego ranka ujrzał Pedra, nadbiegającego ze wsi drogą siedemnastą, w nazbyt wielkiej jeszcze odległości, aby mógł być rozpoznany słuchem.

— Za parę chwil Pedro będzie tutaj — przepowiedział Nunez.

Jeden ze starców oznajmił, że Pedro nie ma nic do roboty na siedemnastej drodze i rzeczywiście, jakby chcąc potwierdzić te słowa, Pedro skreślił w lewo i pobiegł naukos drogą dziesiątą, i skierował się w stronę granicznego muru. Śmiano się z Nuneza, kiedy się okazało, że Pedro nie nadchodzi. Tegoż dnia Nunez zapytał Pedra, jak to było, ażeby wyjaśnić sprawę. Ślepiec wyparł się i zaprzeczył wszystkiemu — i od tego czasu stosunek jego do przybysza stał się wrogi.

Wreszcie Nunez namówił ślepców, aby mu pozwolili wraz z jakimś towarzyszem stanąć na jednej z wyższych hal, w pobliżu granicznego muru, a on im opowie, co się będzie działo we wsi. Widział stamtąd ludzi, przychodzących do wsi i odchodzących, ale to, co dla ślepców miało istotne znaczenie życiowe, działo się wewnątrz domów, pozbawionych okien — czego on, oczywiście, nie mógł zobaczyć. Dopiero, kiedy nie udała się ta ostatnia próba, kiedy ślepcy poczuli szydzić z niego, Nunez zdecydował się użyć siły. Postanowił uzbroić się w łopate, palnąć nią niespodziewanie kogo się zdarzy i w ten sposób namacalnie przekonać ślepców o swojej przewadze. Pochwycił już nawet narzędzie, ale w tejże chwili poczuł, że nie zdobę-

dzie się nigdy na uderzenie z zimną krwią ślepego człowieka.

Zawahał się i spostrzegł nagle, że obecni zdawali sobie sprawę z jego gestu. Zaniepokojeni, z pochylonemi głowami, natężali słuch w jego kierunku, trzymając się wpogotowiu.

— Połóż tę łopatę — powiedział jeden ze starców, a Nunez poczuł bezradne przerażenie.

O mało nie posłuchał.

Opamiętał się, popchnął jednego ze ślepców na ścianę pobliskiego domu, a sam uciekał z wioski, co sił.

Pobiegł przez łąki, pozostawiając za sobą bródę zdeptanej trawy, ale po pewnym czasie usiadł na skraju drogi. Był podniecony, jak człowiek, gotujący się do walki, może tylko z domieszką wahania. Począł rozumieć, że trudno jest walczyć z istotami, o tak odrębnej umysłowości. Spostrzegł zdaleka grupę ludzi, zdążających ku niemu różnymi drogami z głównej ulicy osady, uzbrojonych w łopaty i kije. Posuwali się wolno, nawołując się i co pewien czas, cały sznur ludzki stawał, węszył, nad-słuchiwał.

Kiedy ich tak Nunez zobaczył, z nosami, wyciągniętymi pod wiatr — wybuchnął śmiechem. Ale po pewnym czasie, sytuacja wydała mu się mniej zabawna.

Jeden ze ślepców znalazł ślad jego na trawie i począł iść ku niemu, pochylając się i badając grunt.

W ciągu pięciu minut Nunez przyglądał się taktyce wrogiej linii i nagle żądza działania buchnęła w nim gwałtownym porywem. Wstał, zbliżył się do granicznego muru, zawrócił i poszedł im na spotkanie. Ślepcy stanęli półkolem, nieruchomi, nad-słuchujący.

Nunez stał też bez ruchu, ściskając łopatę w rękach.

Atakować?...

Krew pulsowała mu w skroniach rytmicznie, w takt starego przysłowia: — „W kraju ślepców — jednoocy są królami”.

Atakować?...

Obejrzał się na wysoki, gładki mur, pokryty lśniąca polewa, niemożliwy do przebycia, mimo, iż widniało w nim mnóstwo drobnych drzwiczek; spojrział na zbliżającą się linię wrogów. Ztyłu, od domostw, przybywały już posiłki.

Atakować?...

— Bogota! — zawołał ktoś — Bogota, gdzie jesteś?

Scisnął mocniej rękojeść łopaty i postąpił parę kroków naprzód po łące, a w tej samej chwili ślepcy ruszyli z miejsca.

— Jeżeli dotkną się mnie, będę walił! — zaprzysiągł sobie. — Będę walił, jak mi Bóg miły!

Zawołał:

— Słuchajcie, chcę robić, co mi się podoba, w tej dolinie! Ruzumiecie? Będę chodził, gdzie mi się zechce, i żył, jak uważam!

Ślepcy ruszyli ku niemu ławą, bardzo szybko, z wyciągniętymi rękami. Była to jakby zabawa w „ślepa babkę”, tylko, że szukano właśnie tego, który widział.

— Łapcie go! — zawołał któryś.

W jednej chwili obskoczyli go. Nunez poczuł, że musi zdobyć się na najwyższą energję i decyzję.

— Nie rozumiecie mnie! — krzyknął łamiącym się głosem, któremu napróżno usiłował nadać brzmienie, pewne i zdecydowane. — Jesteście ślepi, a ja widzę! Zostawcie mnie w spokoju!

— Bogota! połóż łopatę i nie chodź po trawie!

Ten rozkaz, śmiesznie poufały, doprowadził Nuneza do wściekłości.

— Zbiję was, potłukę! — wołał, łkając z przejęcia. — Będę walił! Dajcie mi pokój!

Począł biec, nie wiedząc dokąd ani poco. Uciekał od najbliższego ślepcy, gdyż wstręt go przejął na myśl, że może uderzyć człowieka, który nie widzi. Zatrzymał się, zdecydowany przebić sobą zwarte szeregi. Rzucił się w stronę dość dużego rozstępu między ludźmi, ale ślepcy, usłyszawszy jego ruch i kroki, zwarli się gęsto. Nunez skoczył przed siebie, ale widząc, że go pochwyca, podniósł łopatę i — pał! ciał naoslep. Poczul pod narzędziem miękkie ramię i rękę... ktoś walił się na ziemię, a Nunez przebił szeregi swoich prześladowców.

Wyrwał się!

Przybliżał się pędem do głównej ulicy, a ślepcy, potrzęsając kijami i narzędziami, biegli za nim z metodycznym pośpiechem.

Usłyszał tuż za sobą kroki i w ostatniej chwili stawiał czoło barczystemu człowiekowi, który już, już go doganiał. Nunez stracił panowanie nad sobą, zakreślił łopatą w powietrzu, cisnął nią we wroga i zaczął uciekać, krzycząc dziko, gdy kogo mijał.

Ogarnął go strach paniczny. Pędził wściekle to tu, to tam, naoslep, zbaczając niepotrzebnie z drogi, chcąc widzieć naraz ze wszystkich stron, potknął się i upadł. Ślepcy usłyszeli w tejże chwili odgłos jego upadku. Nunez ujrzał nagle w murze granicznym małe otwarte drzwiczki, które wydały mu się wrotami rajy; zerwał się i skierował ku nim bieg szalony. Nie obejrzał się już ani razu na swoich prześladowców; wybiegł za mur, potknął się na moście, skoczył pomiędzy skały, przeraziwszy młodą lamę, i padł na ziemię bez tchu.

Tak skończył się jego zamach stanu.

Dwa dni i dwie noce przebywał Nunez poza murami doliny ślepców, bez pożywienia i bez schroniska, zastanawiając się wciąż nad niepojętym wydarzeniem. Myśląc nieustannie, powtarzał z gorzką ironją kłamliwe przysłowie: „W kraju ślepych — jednoocy są królami”. Wążył przedewszystkiem sposoby pokonania i zwyciężenia tego ludu, ale coraz jaśniej widział, że niema na to rady. Nie posiadał broni, a teraz będzie się trudno o nią wystrząć.

Zaraza cywilizacji dotarła do Bogoty. Nunez nie mógł zdobyć się na zamordowanie ślepego człowieka. Oczywiście, gdyby się na to zdecydował, mógłby dyktować ślepcom warunki pod grozą rzezi. Tylko, że — wcześniej czy później — musiałby zasnąć, a wtedy...

Próbował znaleźć jakieś pożywienie w pinjowym lesie, skłecić schronienie przed nocnym chłodem; powziął też słabą nadzieję, że uda mu się zwabić podstępem lamę, rozbić jej łeb kamieniem i tak zaopatrzyć się w mięso. Ale lamy nie miały doń zaufania, spoglądając nieufnie bronzowemi oczyma, i uciekały, kiedy się zbliżał. Drugiego dnia poczuł gorączkę i dreszcze. Wreszcie zszedł wdół do muru, otaczającego Krainę Ślepców, dla rozpoczęcia pertraktacyj. Dążył wzdłuż kanału, nawołując. Aż dwóch ślepców podeszło do bramy i zaga-dało do niego.

— Byłem szalony — powiedział Nunez. — Jestem jeszcze bardzo młody! W tym tonie zgodzono się prowadzić z nim pertraktacje. Nunez dodał, że będzie teraz mądrzejszy i że żałuje swoich postępów.

I tu, nie panując nad sobą, rozplakał się, gdyż był bardzo chory i wyczerpany. Płacz jego uznano za dobry znak. Ślepcy zapytali jeszcze Nuneza, czy dalej obstaje przy tem, że „widzi”.

— Nie — odpowiedział. — To było szaleństwo. Słowo „widzi“ nic nie znaczy, mniej, niż nic.

Zapytano go jeszcze, co znajduje się w górze, ponad ludźmi.

— Nad światem, na dziesięciokrotnej wysokości człowieka, rozpięty jest dach — dach ze skały — bardzo, dardzo gładki... — Wybuchnął histerycznym płaczem. — Ale nim mnie będziecie dalej pytali, dajcie mi coś do zjedzenia, bo skonom.

Oczekiwał najsroźszej kary, ale ten ślepy lud był tolerancyjny. Potraktowano bunt przybysza, jako jeszcze jeden dowód jego idjotyzmu i niższości umysłowej. Wychłostano go i przydzielono do najprostszych i najcięższych robót. Nunez, nie widząc innego wyjścia, wypełniał wszystko z rezygnacją. Chorował przez kilka dni, a ślepcy pielęgowali go troskliwie. Uczyniło mu to niewolę łatwiejszą. Nalegali jednak, aby pracował w ciemnościach, co było dlań niewypowiedzianie ciężkie. Ślepi filozofowie napominali go za niewybaczalną płochość umysłu i za wątpliwości, dotyczące sklepienia skalnego, które osłaniało ich garnek kosmiczny. Nunez wreszcie począł pytać sam siebie, czy nie pada ofiarą halucynacji, nie widząc nic podobnego ponad głową.

— Tak został on obywatelem Krainy Ślepców i tubylcy przestali stanowić dlań tłum nierozróżniczkowany. Z wieloma ludźmi zeszedł się bliżej. Świat z tamtej strony gór wydawał mu się coraz bardziej nierealny. Poznał bliżej Jakóba, swego pana, człowieka dobrego, gdy nie był rozdrażniony; siostrzeńcem Jakóba był Pedro; najmłodsza zaś córka Jakóba miała na imię Medina-Sarote. Niebardzo ją ceniono w dolinie, gdyż miała wyraziste rysy; tylko gładka, płaska twarz uchodziła wśród ślepców za ideał urody kobiecej. Medina Nunezowi wydała

się piękną, najpiękniejszą na świecie; jej zamknięte powieki nie były ani czerwone, ani zapadnięte i wyglądały, jakby je miała za chwilę otworzyć; posiadała długie rzęsy, co było ogólnie uważane za poważne zniekształcenie. Jej głos był donośny i niemiły dla wydelikaczonego słuchu młodzieńców z doliny. Z tych to powodów nikt się do niej nie zalecał.

Nadszedł czas, kiedy Nunez pomyślał, że jeżeli uda mu się uleczyć Medinę, chętnie pozostanie wśród ślepców do końca dni swoich.

Czatował na nią, szukał sposobności świadczenia jej drobnych przysług i wreszcie zwrócił jej uwagę.

Pewnej świątecznej nocy siedzieli blisko siebie w świetle gwiazd, a wśród gromady rozlegały się dźwięki słodkiej muzyki. Ich ręce się zbliżyły i Nunez odważył się uścisnąć smukłe paluszki. Delikatnie i czule oddała mu uścisk. Kiedy indziej, gdy spożywali posiłek w ciemnościach, dotknęła znów miękko jego ręki, a że ogień zapłonął w tej chwili żywiej, zobaczył bezgraniczną czułość na jej twarzy.

Postanowił wyjawić dziewczynie swoje uczucia.

Podszedł do niej pewnej letniej nocy, gdy przędała w świetle księżyca. W słabym blasku jaśniała, jak tajemniczy posąg ze srebra. Siadł u jej stóp i począł opowiadać, jak piękną mu się wydaje, jak ją kocha. Miał głos pieszczotliwy, mówił z czułym szacunkiem, bliskim lęku; a dotąd nikt jej jeszcze nie otoczył taką adoracją. Nie dała mu ostatecznej odpowiedzi, ale widać było, że słowa Nuneza trafiły do jej serca.

Od tam rozmawiał z nią przy każdym spotkaniu. Dolina stała się światem dla przybysza, a świat poza górami, gdzie ludzie żyją w świetle słońca, zdawał

mu się fantastyczną bajką. Nieśmiało i z wahaniem zaczął kiedyś mówić ukochanej o wzroku.

Dziewczynie wydały się jego słowa najpoetyczniejszą z fantazyj; słuchała opisów gwiazd i gór i swej własnej słodkiej, bladej urody z łagodną wyrozumiałością, graniczącą z poczuciem winy. Nie wierzyła niczemu, nie rozumiała połowy, ale dziwnie ją te opowieści zachwycaly, a góralowi zdawało się, że ukochana pojmuje go całą duszą.

Zczasem Nunez stał się śmielszym, a miłość jego — mniej bojaźliwą. Postanowił zażądać ręki dziewczyny od Jakóba i starszyny; ale ona zlekła się i poczęła odwlekać decyzję. Dopiero jedna ze starszych sióstr powiedziała Jakóbowi o miłości Mediny-Sarote i Nuneza.

Z początku powstała wielka opozycja przeciwko temu małżeństwu; nie dlatego, żeby ślepcy specjalnie cenili dziewczynę, ale uważali oni Nuneza za stworzenie, stojące na poziomie niższym, niż człowiek — za kretyna. Siostry Mediny-Sarote oparły się najostrzej, gdyż to małżeństwo zdyskredytowałoby je w oczach młodzieży, a stary Jakób, choć czuł coś nakształt przywiązania do swego uległego, posłusznego sługi, potrząsnął głową i powiedział, że nic z tego nie będzie. Młodzież doliny rozgniewała się na myśl o podobnem zepsuciu rasy, a jeden z nich zwymyślał i nawet uderzył Nuneza. Ten mu oddał. W taki sposób, po raz pierwszy, Nunez wykazał przewagę, jaką daje wzrok, nawet w półmroku. Po tym dowodzie nikt więcej nie odważył się podnieść na przybysza ręki. Ale małżeństwo wydawało się wszystkim niemożliwe.

Stary Jakób kochał bardzo swoją najmłodszą córeczkę, martwił się niezmiernie, gdy przychodziła płakać na jego ramieniu.



— Widzisz, kochanie, to jest kretyn. Ma halucynacje. Niczego nie potrafi dobrze zrobić.

— Wiem — płakała Medina-Sarote. — Ale idzie mu lepiej, niż z początku. Staje się rozsądniejszy. I jest silny, tatusiu, i miły — silniejszy i miłszy, niż ktokolwiek inny. I kocha mnie i — ojczu, ja go kocham!

Stary Jakób martwił się coraz bardziej, widząc swą córkę niepokojoną, tem bardziej, że sam — i to było jeszcze gorsze — lubił Nuneza. Pewnego więc dnia udał się do pozabawionej okien sali, gdzie radziła starszyczna, i biorąc udział w ogólnej rozmowie, wtrącił słowo o Nunezie w odpowiednim momencie:

— Stan jego się polepsza. Miejmy nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy będzie równie zdrow, jak my wszyscy.

Po pewnym czasie jednemu ze starców, który umiał myśleć głęboko, przyszedł pewien pomysł do głowy. Był on wielkim doktorem wśród tego ludu, największym lekarzem, miał umysł wynalazczy i filozoficzny. Perspektywa uwolnienia Nuneza od jego dziwnych właściwości szczególnie pociągała mędrca. Pewnego dnia, w obecności Jakóba, skierował rozmowę na temat Nuneza:

— Zbadałem Bogotę — oświadczył — i rozumiem, co mu dolega. Przypuszczam, że potrafię go wyleczyć.

— Spodziewałem się tego! — zawołał stary Jakób.

— Ma on zajęty mózg. — Oświadczył ślepy doktor.

Wśród starców rozległ się szept aprobujący.

— Otóż, co wywołuje tę chorobę? — ciągnął filozof.

— Co takiego? — zawołał Jakób.

— Wywołują ją mianowicie—odpowiedział doktor—te dziwne miejsca, zwane oczami, które istnieją jedynie po to, aby tworzyć miłe dołki na twarzy. W wypadku Bogoty są one chore i uciskają mózg. Nienormalnie nabrzmiąle, otoczone włosami o ruchliwych powiekach — świadczą o chorobie. Nic też dziwnego, że mózg jego jest nieustannie podrażniony.

— Ach, więc to tak?—pytał Jakób.—Więc tak?

— Sądzę, że mogę teraz powiedzieć z całą pewnością: ażeby kompletnie wyleczyć Bogotę, trzeba go poddać drobnej i łatwej operacji—należy usunąć te drażniące narośle.

— I wtedy będzie zdrowy?

— Wtedy będzie zupełnie zdrow i stanie się doskonałym obywatelem.

— Dzięki Bogu, że dał nam naukę—rzekł stary Jakób i poszedł wprost do Nuneza, ażeby zapowiedzieć mu tę radosną nadzieję.

Ale sposób, w jaki Nunez przyjął nowinę, wydał mu się chłodny i napelnił go rozczarowaniem.

— Moznaby pomyśleć — powiedział—z twojego tonu, że mało ci zależy na mojej córce.

Medina-Sarote poczęła gorąco namawiać Nuneza, aby poddał się operacji.

— Ty?!—zawołał Nunez.—I ty chcesz, abym wyrzekł się daru wroku!

Skinęła głową.

— Wzrok jest moim światem!

Głowa jej pochyliła się niżej.

— Tyle jest pięknych rzeczy—kwiaty, drzewa, połysk futra; dalekie niebo, ocienione puszkami chmur; zachody słońca, gwiazdy! I jesteś ty!... Dla ciebie samej dobrze jest mieć wzrok. Widzieć two-

ją słodką, pogodną twarz, twoje śliczne usta, twoje kochane, piękne ręce, splecione na kolanach. Oczarowałaś właśnie moje oczy, moje oczy prowadzą mnie do ciebie — a ci idjoci chcą mi je zabrać. Odtąd będę musiał dotykać cię, słuchać, ale nigdy nie zobaczyć. Będę musiał wejść pod to sklepienie ze skał, kamieni i ciemności, pod ten okropny sufit, który przygniata waszą wyobraźnię. Nie! Ty przecież nie chcesz zmusić mnie do tego?

Zdjęła go przykra niepewność. Zamilkł po tem pytaniu.

— Chciałabym — powiedziała — czasem...

Urwała.

— Czegóż to? — zapytał trochę natarczywie.

— Chciałabym czasem... żebyś nie mówił w ten sposób,

— Jak?

— Wiem, że to, co mówisz, jest śliczne. Twoja wyobraźnia! Kocham ją, ale...

Dreszcz zimny go przeniknął.

— Ale?... — zapytał zduszonym głosem.

Milczała.

— Sądzisz... myślisz... że byłoby lepiej...

Zrozumiał. Poczuił gniew nagły, protest przeciwko głupiemu fatum, a jednocześnie czułość dla tej, która go nie rozumiała — czułość, bliską litości.

— Najdroższa! — powiedział i patrząc na jej błądność, rozumiał, jak intensywnie pragnęła i nie chciała, nie mogła powiedzieć. Objął ją ramieniem, pocałował zlekka i siedzieli tak czas jakiś w milczeniu.

— A jeżeli się zgodzę? — zapytał wkońcu łagodnie.

Zarzuciła mu ręce na szyję, płacząc gwałtownie.

— Oh, gdybyś chciał! — zaskakała. — Gdybyś tylko chciał!

W ciągu tygodnia, poprzedzającego operację, która go miała zdźwignąć ze stanu zależności i służalstwa do rzędu wolnych obywateli Krainy Slepców, Nunez nie zaznał snu.

Podczas gorących, słonecznych godzin, gdy wszyscy spali bez troski, siedział, rozmyślając, albo włóczył się bez celu, ważąc w myślach okropny dylemat. Dał już odpowiedź, wyraził zgodę, a jednak nie był pewien! Uplęnęła wreszcie ostatnia noc pracy, słońce wypłynęło, wspaniałe, ponad złotymi wierzchołkami gór i rozpoczął się dla Nuneza ostatni dzień jego widzenia.

Rozmawiał parę chwil z Mediną - Sarote, nim udała się na spoczynek.

— Jutro—powiedział—nie będę już więcej widział.

— Najdroższy! — odrzekła, ściskając go mocno za ręce. — Nie będziesz prawie wcale cierpieć—dodała. — Zniesiesz to, wytrzymasz dla mnie, najukochańszy. Jeżeli serce i życie kobiety mogą wynagrodzić poświęcenie, ja ci twoje wynagrodzę. Mój najdroższy, ja ci to wynagrodzę.

Pełen był litości dla niej i dla siebie.

Pochwyił dziewczynę w ramiona, pocałował w usta i ostatni raz patrzył na jej słodką twarzączkę.

— Żegnaj! — wyszepał na ten, tak drogi widok. — Żegnaj!

Potem w milczeniu odwrócił się od Mediny.

Słyszała jego oddalające się kroki, a było coś w ich rytmie, co pobudziło ją do gorzkiego płaczu.

Nunez chciał pójść gdzieś daleko, gdzie mógłby popatrzyć na bujne łąki, całe w narcyzach, i tam pozostać aż do godziny swojej ofiary; idąc tak przed siebie, podniósł oczy i zobaczył poranek, poranek, schodzący z gór, jak anioł w złotej zbroi...

W obliczu tej światłości wydało mu się, że on

sam i miłość jego, i świat ślepców w dolinie—sa tylko snem okropnym.

Nie zszedł na łąki, jak zamierzał; zdażał wciąż w górę; przeszedł poza granicę muru; stanął na zboczu górskim. Patrzył na lodowce i na zalane słońcem śniegi.

Widział ich nieskończone piękno, a wyobraźnia poniosła go ku wszystkiemu, z czem zdecydował zerwać na zawsze.

Myślał o wielkim, wolnym świecie, z którego przyszedł, do którego należał, i ujrzał wyobraźnią dalsze zbocza, dalekie przestrzenie, Bogotę-miasto, co jest, jak jasność wspaniała za dnia, jak tajemnica, pełna światła w nocy; miasto pałaców i fontann, posągów i białych domków, rozrzuconych w niewielkich odstępach od siebie. Pomyślał, że być może, udałoby się po dniu albo dwóch wspinaczki, po przebyciu paru przełęczy — zbliżyć się do jego pracowitych placów i ulic. Pomyślał o podróży z biegiem rzeki, od wielkiej Bogoty do świata większego jeszcze. Poprzez miasta i wsie, lasy i pustki płynąc tak wartką wodą, aż do chwili, kiedy jej brzegi się rozstapiają, łodzie zanurzą w spienionych falach; aż do chwili, kiedy się wypłynie na morze — morze bezgraniczne, z tysiącem, tysiącem wysp i z okrętami, dążącymi w mglistą dal, we wszystkie strony szerokiego świata. Tam widzi się niebo, nie ścieśnione górami; niebo, a nie pokrywkę, jak tutaj. Arka niezmierzonego błękitu, najprzepaścistsza przepaść, gdzie gwiazdy płyną po swych drogach.

Oczy Nuneza z rosnącym zainteresowaniem badać poczęły kotarę gór, dzielącą go od świata.

Gdyby tak, na przykład, zacząć się wspinać tędy, po tych piargach, aż do tamtego kominka górskiego, wyszedłby poza linię omszonych pini, a gdyby wspiął się jeszcze wyżej i wyżej, wy dostałby się

ponad gardziel skalną. A potem? To zbrocze byłoby nie nazbyt trudne. Stamtąd, kto wie, możeby dało się pokonać ścianę, otaczającą przepaść, i wydostać się na śniegi. A potem? Potem będzie już na złocistych śniegach, na połowie drogi do szczytu tej wyniosłej pustyni.

Obejrzał się na wioskę i patrzył długo.

Myślał o Medinie-Sarote i stawała się dlań coraz mniejsza i coraz dalsza.

Zwrócił się znowu w stronę górskiej ściany, którą oświetlał wschodzący dzień.

I bardzo ostrożnie zaczął się wspinać.

Gdy słońce zachodziło, nie wdzierał się już na skalę, ale był daleko, daleko. Niedawno był jeszcze wyżej, ale i teraz leżał wysoko. Ubranie jego wisiało w strzępach, ciało miał zakrwawione i potłuczone, ale leżał, jakby mu było bardzo dobrze, a na twarzy jego jaśniał uśmiech.

Gdy tak leżał, dolina zdawała się daleką, głęboką mogiłą. Pełna była mgły i cienia, a szczyty górskie stały całe w blasku i płomieniu. Najdrobniejsze załamania skały w pobliżu odcinały się z subtelną pięknnością; żyła zielonego kamienia wiała się na szarej skale, kryształki górskie błyskały tu i owdzie, a twarz Nuneza spoczywała na drobnych, prześlicznych, pomarańczowych porostach. Głębokie, tajemnicze ciemności zawisły nad skalną gardzielią; błękit, przechodzący w purpurę, i purpura, rozjaśniona połyskliwą ciemnością. Nad głową miał niezmierną przestrzęń nieba.

Ale Nunez tego nie widział. Leżał nieruchomo, uśmiechnięty najwyższą radością; wyrwał się z Krainy Słpców, z krainy, której ongiś zamierzał zostać królem.

Blaski zachodu znikły, noc nadeszła. Nunez spoczywał w chłodnym blasku gwiazd.

## KRÓLESTWO MRÓWEK

Kiedy kapitań Gerilleau otrzymał rozkaz poprowadzenia kanonierki „Benjamin Constant” do Badamy, leżącej nad Batenem, dopływem Quaramadema, ażeby dopomóc mieszkańcom, nawiedzonym przez plagę mrówek — posadził władzę o kpiny. Awansował dotychczas w sposób romantyczny i nieprzewidziany. Pomagały mu do tego jego marzące oczy i miłość pewnej eleganckiej brazylijskiej damy; fakt ten nawet podniosły pisma „Diario” i „O Futuro” w przykrej formie, nie szczędząc ironicznych komentarzy. Kapitań obawiał się więc, że i obecnie da znów powód do kpin i nieposzanowania.

Był on Kreolem, choć jego poglądy na etykietę i dyscyplinę zdradzały czystą krew portugalską. Otwierał swoje serce jedynie przed Holroydem, inżynierem z Lancastire’u, który przybył wraz ze statkiem. Zwierzenia swoje traktował w znacznej mierze, jako ćwiczenia w języku angielskim: „th” bowiem jego brzmiało wciąż niezadawalniająco.

— Niewątpliwie — powtarzał — chcą mnie ośmieszyć. Jaka może być rada na mrówki? Przyszły, to i pójdą.

— Kiedy właśnie — odrzekł Holroyd — te mrów-

ki nie chcą się wynieść. Ów chłopak, który, jak pan mówił, jest Zambo...\*)

— Zambo, on powiada, że to nie mrówki, a ludzie zaczynają uciekać.

Kapitan palił nerwowo papierosa.

— Takie rzeczy bywają — powiedział wreszcie. — Cóż wielkiego? Plaga mrówek, czy Bóg wie czego? Była już taka plaga w Trynidad — malutkie mrówki, objadające liście z drzew, zniszczyły wszystkie pomarańcze i mango drzewa. O cóż chodzi? Czasami się też zdarza, że całe armje mrówek napadają na dom. Trzeba wtedy dom opuścić. Kiedy się wraca — dom jest czystutki, jak nowy. Skorpionów, karaluchów, pcheł — ani na lekarstwo!

— Ten Zambo powiada — odparł Holroyd — że to jest jakiś nowy gatunek mrówek.

Kapitan wzruszył ramionami, rozgniewany, i zajął się całkowicie papierosem.

Powrócił jednak do przerwanej rozmowy.

— Mój drogi Holroydzie, cóż ja mogę poradzić na te djabelskie mrówki?

Zastanowił się chwilę.

— Ależ to nonsens! — zdecydował.

Po południu włożył odświętny garnitur i szedł na brzeg; kiedy powracał, poprzedzały go skrzynie i skrzynki z butelkami. Holroyd siedział na pokładzie, palił namiętnie, zachwycając się chłodnym brazylijskim wieczorem. Był oto o sześć dni drogi od dorzecza Amazonki, o kilka set mil — od oceanu; horyzont był rozległy, jak na morzu, od południa widniała ławica piaszczysta, usiana kępami trzciny. Woda płynęła wartko, jak ze śluzy, mętna i spieniona, roiała się od krokodyli i ptactwa wodnego, niosąc na swych falach zwalone pnie drzewne. Ta

\*) Zambo — mieszaniec.



pustynia, niezmierna pustynia, przepelniała, zda się, duszę. Miasteczko Alemquer, z krytymi słomą domkami, nędznym kościółkiem, ze zrujnowanymi zabytkami lepszych czasów — zdawało się nic nieznaczającym punktem w tem rozpasaniu dzikiej przyrody drobna moneta, zgubiona na Saharze. Holroyd był młodym człowiekiem, po raz pierwszy przebywał pod zwrotnikiem. Przyjechał wprost z Anglii, gdzie drogi, kanały i płoty doprowadziły przyrodę do stanu zupełnej uległości. Tutaj zrozumiał nagle, jak niewiele znaczy człowiek. Od sześciu dni płynęli przeciwko prądowi, przez mało znane przesmyki rzeczne, gdzie niezmiernie rzadko udawało się spostrzec człowieka. Jednego dnia widziało się łódkę; innego — daleki posterunek; kiedy indziej wrzescie nie dostrzegano żywej duszy. Zdawało się już Holroydowi, że człowiek jest rzadkiem zwierzęciem, odgrywającym nieznaczną rolę w wszechświecie... Uprzytomnił to sobie jeszcze lepiej, po upływie pewnego czasu, w ciągu owej krętej drogi w kierunku Batemo, w towarzystwie tego dziwnego zwierznika, który wioził na pokładzie wielką armatę, choć nie wolno mu było marnotrawić nabojów. Holroyd prędko nauczył się hiszpańskiego języka, choć posługiwał się właściwie tylko czasem terazniejszym i pierwszym przypadkiem. Jedyną jeszcze osobą na statku, która umiała kilka słów po angielsku, był szofer-murzyn, ale jak mówił! Pożał się Boże! Pomocnik kapitana da Cunha, „parlował” niby po francusku, ale Holroyd poznał francuszczyznę zupełnie inną w Louthporcie, więc też musieli poprzestawać na wymianie uprzejmości i krótkich zdań o pogodzie, ale nawet pogoda w tym zastanawiającym nowym świecie, nawet pogoda nie była ludzką: upał w dzień, upał w nocy; w powietrzu pełno było pary, nawet wiatr dmuchał gorącą

parą, nasyconą zapachem rozkładającej się roślinności; aligatory, dziwaczne ptaki, owady wszelkiego rodzaju i najrozmaitszej wielkości, żuki i mrówki zdawały się pytać, czego chce człowiek w tym kraju, gdzie w atmosferze dni upalnych nie było radości, a noc nie dawała ochłody. Ciężar ubrania stawał się nie do zniesienia, ale nie można go było zdjąć w dzień pod grozą upieczenia się na słońcu, a w nocy — pożarcia przez moskity. Na pokładzie oślepiało słońce, a w kajucie można się było udusić. W ciągu dnia nawiedzały okręt małe muszki, natrętne i jadowite, tnące zawsze w okolicę kostki lub dłoni.

Kapitan Gerilleau, jedyna rozrywka dla Holroyda wśród tych mąk fizycznych, wierceł mu dziurę w brzuchu, opowiadając dzień w dzień, jakby różaniec, wciąż te same miłosne przygody z anonimową kolekcją kobiet. Czasem proponował polowanie, więc strzelali do aligatorów; w rzadkich odstępach czasu zawijali do siedzib ludzkich, w cieniu drzew, zatrzymywali się na dzień, dwa, siedzieli i pili z kim się nadarzyło. Pewnej nocy tańczyli z Kreolkami, które uznały, że słabe początki Holroyda w kunszcie hiszpańskiego języka, aż nadto wystarczają na ich potrzeby. Ale to były tylko jasne przebłyski w tym szarym ciągu dni podróży po bystrej rzece, wśród miarowego łomotu motoru. Jedyną pociechą było pewne bóstwo, przychylne i pogańskie, które pod postacią półgąsiora wina pilnowało kusząco tyłu okrętu.

Gerilleau podczas postojów dowiadywał się corazto nowych i nowych rzeczy o mrówkach i wreszcie począł się interesować swą misją.

— To jest jakiś nowy gatunek — zdecydował.  
— Chyba zostaniemy — jak to się nazywa — entomologami. Są olbrzymie, pięciocentymetrowe! Nawet

większel To jest dzikiel Będziemy musieli, jak mały, iskać się i tępić owady. Ba, kiedy one po prostu pożerają okolicę.

— Nagle wybuchnął gniewem.

— Niech pan sobie wyobrazi, że wynikają jakieś zatargi z Europą. A ja jestem tutaj—wkrótce będziemy powyżej Rio Negro—i moja armata śnie-dzieje nieużytecznie w tym przeklętym kraju.

Poklepał swoje kolano i zamyslił się.

— Ci ludzie, stamtąd, gdzieśmy tańczyli, zwiali wszyscy, co do nogi. Porzucili cały swój dobytek. Pewnego dnia mrówki napadły na ich domy. Wszyscy musieli się wynieść. Wiadome rzeczy, kiedy nadchodzą mrówki, trzeba brać nogi za pas i zostawić dom na łasce Bożej. Gdyby kto został, pożarłyby go, jak nic. Niech pan słucha! Zazwyczaj, potem mrówki odchodzą; mówi się: — „Mrówki przeszły”. — Tymczasem tutaj... mrówki nie przeszły. Spróbowali wrócić do domu — syn najpierw. Mrówki napadły jego.

— Oblazły go?

— Pogryzły. Więc wybiegł pędem z domu i wrzeszczał. Przebiegł przed wszystkimi — i buch do rzeki. Rozumie pan? Skoczył do rzeki i zatopił mrówki. Tak.

Gerilleau umilkł, spojrział na Holroyda swemi omdlewającymi oczyma i poklepał jego kolano.

— Teżże nocy umarł, zupełnie, jakby go ugryzł wąż.

— Te mrówki jadowite?

— Kto wie? — Gerilleau wzruszył ramionami. — Możliwe, że go jakoś okropnie pogryzły. Wstąpiłem do marynarki poto, żeby walczyć z ludźmi. Takie mrówki, to sobie przychodzą i odchodzą. To nie jest zajęcie dla mnie.

Przez cały ciąg podróży chętnie jednak mawiał z Holroydem o mrówkach. Za każdym razem, kiedy zdarzyło im się spotkać jakąś istotę ludzką wśród bezmiarów wody, słońca i lasów, Holroyd, lepiej obznajmiony z miejscowem narzeczem, rozpoznawał słowo „Sańba”, coraz częstsze, coraz bardziej deminuujące nad całą rozmową.

Uznał, że sprawa mrówek zaczyna się przedstawiać coraz bardziej interesująco i w miarę, jak się przybliżali do celu podróży, ciekawość jego rosła. Gerilleau porzucił swe odwieczne tematy, a oficer portugalski przyłączał się teraz do rozmowy; znał obyczaje mrówek, tnących liście, i popisał się swemi wiadomościami. Gerilleau od czasu do czasu tłumaczył jego słowa Holroydowi. Oficer opowiadał o drobnych, rojnych robotnicach, których zadaniem jest wojna, i o większych, które rządzą i wydają rozkazy, a walcząc z człowiekiem, wpełzają mu na kark i gryzą aż do krwi. Opowiadał, jak tną liście i tworzą z nich gębczaste koryta i zapewniał, że ich mrowiska ciągną się w Caracasiu na przestrzeni setek metrów. Przez dwa dni trzech mężczyźni dysputowali na temat, czy mrówki posiadają oczy. Drugiego popołudnia pokłócili się o to na dobre i dopiero Holroyd uratował sytuację, udał się bowiem łódką na brzeg dla stwierdzenia prawdy. Udało mu się złapać kilka gatunków; niektóre miały oczy, a niektóre—nie. Wobec tego zaczęły się debaty—czy mrówki kłują, czy gryzą?

— Te nasze mrówki—oznajmił Gerilleau, po zebraniu informacji w pewnem rancho—mają wielkie oczy. Nie biegają, jak ślepe, jak większość innych. Nie! Kryją się po kątach i patrzą, co się dzieje.

— I kłują? — zapytał Holroyd.

— Tak. Kłują. Mają zatrute żądło. — Pomyślał

chwile. — Nie pojmuję, co ludzie mogą na to pora-  
dzić?

— Powinno się czekać, aż sobie pójda.

— Ba, kiedy one właśnie nie odchodzą.

— Pójda sobie — powtarzam.

Poza Tamandu całe długie osiemdziesięciokilo-  
metrowe wybrzeże niezamieszkałe jest przez niko-  
go; dalej, dopływ Amazonki i rzeka Batemo two-  
rzą razem olbrzymie jezioro; a jeszcze dalej las  
podchodzi do rzeki i staje zwartą ścianą wzdłuż  
łożyska. Charakter koryta rzecznego zmienia się,  
płyną po nim stopy pni drzewnych.

„Benjamin Constant” zarzucił tego wieczora kot-  
wicę w cieniu nadbrzeżnych drzew. Po raz pierw-  
szy od wielu dni podróżni zaznali nieco chłodu;  
Holroyd i Gerilleau siedzieli do późnej nocy, paląc  
cygara i rozkoszując się rzeźwem powietrzem.  
Myśli Gerilleau były przepełnione mrówkami i tem  
wszystkiem, czego się od nich należało spodziewać.  
Zdecydował się zasnąć wreszcie i leżąc już na ma-  
teracu, umieszczonym na pokładzie, powiedział po  
raz setny z niepokojem, a nawet z rozpaczą:

— Jaka jest rada na mrówki? Wszystko to nie  
ma ani odrobiny sensu.

I Holroyd pozostał sam, pogrążony w myślach,  
drapiąc pogryzione, swędzące dłonie. Usiadł na bur-  
cie i przysłuchiwał się zmiennemu oddechowi Ger-  
illeau, póki ten nie zasnął. Plusk wody ściągnął  
jego uwagę i znów powróciło poczucie ogromu oto-  
czenia, które narastało ciągle od chwili wyjazdu  
z Para. Jedno jedyne światło błyszczało na statku  
i słychać było głosy na dziobie okrętu. A potem—  
cisza. Oczy Holroyda przeniosły się z ciemnych za-  
rysów kanonierki na brzeg, słabo widniejący w  
ciemnościach, w kierunku czarnej, oszłamiającej  
tajemnicy lasu, gdzie migotało czasami światelko

luciolli i słycać było szmer i szelest tysiąca istnień.

Nieludzki ogrom tego kraju zdumiewał go i przytłaczał. Wiedział, że niebo jest puste, że gwiazdy są zawieszane w nieskończonej przestrzeni; rozumiał, że ocean jest olbrzymi i niepokonany, ale żyjąc zawsze w Anglii, uważa, że ziemia należy do ludzi. I tak jest rzeczywiście — w Anglii, pozwala się dzikim zwierzętom żyć przez tolerancję, rozmnażać się na mocy kontraktu; drogi, płoty zapewniają mieszkańcom zupełne bezpieczeństwo. Na mapie ziemia barwiona jest rozmaicie, dla wykazania opianowanych przez ludzi terenów — w jaskrawym przeciwieństwie do gładkiego, niepokonanego błękitu mórz. Wierzył też Holroyd, że nadejdzie dzień, kiedy na całej kuli ziemskiej zapanuje kultura, plugi, tramwaje i bite gościńce, bezpieczeństwo i organizacja. Ale teraz — zwątpił.

Ten nieskończony las był niepokonany, a człowiek na jego tle wydawał się intruzem, zdany na łaskę i niełaskę wszechwładnej przyrody. Jechało się całymi milami pośród milczącej walki drzew-olbrzymów, zdradliwych lian, wyzywających kwiatów; a wszędzie aligatory, żółwie, nieskończone mnóstwo ptaków i owadów żyło, juk u siebie, na własnym zwykłym i stałym terenie, a człowiek — człowiek mógł, co najwyżej, przeniknąć do zdradliwych polan, walcząc z roślinnością, ze zwierzem i owadami, ażeby osiągnąć wątpliwe, kruche zwycięstwo i czekać każdej chwili śmierci od węża, owadu, drapieznika i gorączki. W wielu miejscach wzdłuż rzeki człowiek musiał opuszczać zawczasu plac walki: ponieczana przystań, szczątki tego, co się niegdyś zwało „casa”, tu i owdzie zrujnowane białe ściany czy zwalona wieża — świadczyły aż nadto wymownie o tem, co się tu działo. Puma, jaguar były tu panami.

Ale kto sprawował prawdziwe władztwo?

O kilka mil dalej, w tymże lesie było oto pewno więcej mrówek, niż ludzi na całym świecie!

Ta myśl wydała się Holroydowi zupełnie nową. W ciągu kilku tysięcy lat człowiek przeszedł z okresu barbarzyństwa do okresu cywilizacji, która pozwoliła mu uważać się za pana przyszłości i władcę globu. Cóż może stanąć na przeszkodzie podobnej ewolucji u mrówek? Te, któreśmy znali dotychczas, żyją w niewielkich społeczeństwach i nie czynią żadnego wysiłku, aby podbić świat. A przecież mają swój język, są obdarzone inteligencją. Przypuścimy teraz, że mrówki poczynają robić użytek ze swojej wiedzy o świecie, jak to uczynili ludzie przy pomocy książek i dokumentów, że posiadają broń, tworzą wielkie państwa, wypowiadają światu planową i zorganizowaną wojnę?

Przypomniało się Holroydowi, co Gerilleau opowiadał o mrówkach, z którymi mieli właśnie walczyć. Posiadały jad na podobieństwo węży. Miały mądrzejszych przywódców, niż mrówki, tnące liście. Były mięsożerne i nie porzucały miejsc, do których raz przybyły.

Las był cichy. Woda chlupała o kadłub okrętu. Dokoła zawieszanej u góry latarni wirowały ćmy.

Gerilleau poruszył się w ciemnościach i westchnął.

— Cóż można na to poradzić? — zamruczał i przewrócił się na drugi bok.

Natretny brzęk moskita obudził Holroyda z zamyślenia, które stawało się coraz bardziej ponure.

## II

Następnego ranka Holroyd dowiedział się, że od Badamy dzieli ich już tylko czterdzieści kilo-

metrów; począł też z rosnącym zainteresowaniem przypatrywać się brzegom. Co chwila wychodził na pokład i przyglądał się okolicy. Nie widać jednak było nigdzie śladów ludzkich z wyjątkiem ruin jakiegoś domu i pozieleniałej fasady dawno opuszczonego klasztoru w Maju; gałęzie drzewa wyzierały z otwartego okna, a kręte liany wily się dokoła pustych drzwi. Całe gromady dziwacznych, żółtych motyli, o półprzezroczystych skrzydłach, pokazały się tego ranka; wiele z nich opadło na pokład i można je było łapać rękami. Około południa „Benjamin Constant” napotkał opuszczoną „cubertę”.

Nie wydawała się, zresztą, pustą na pierwszy rzut oka; oba jej żagle wisały luźno w spokojnem popołudniowem powietrzu, a na pokładzie widniała postać siedzącego człowieka.

Inna postać zdawała się spać, z twarzą, opartą o wydłużony pomost, biegnący przez środek łodzi.

Na widok chwiejącego się steru i kierunku łodzi, dążącej bezwładnie z prądem rzeki, który spychał ją wprost na kanonierkę, marynarze zrozumieli że dzieje się tam coś niedobrego. Gerilleau przyglądał się „cubercie” przez lornetę—i uwagę jego zwróciła dziwna barwa twarzy siedzącego człowieka: twarz jego była czerwona, bez nosa, a postać skurczona raczej, niż siedząca. Im dłużej kapitan patrzył, tem trudniejszy do zniesienia był dla niego ten widok, ale nie mógł zdecydować się, aby odjąć lornetę od oczu.

Uczył to wreszcie, poczem postąpił parę kroków, wołając Holroyda. Następnie zawrócił, aby przyholować „cubertę”. Holował ją tak długo, aż przybliżyła się zupełnie. Widać było dokładnie jej nazwę: „Santa Rosa”.

Kiedy podpłynęła już całkiem blisko, szarpnęła



się silnie i wtedy sylweta skurzonego człowieka znikła nagle. Kapelusz zleciał mu z głowy, odsłaniając twarz ohydną, a ciało jego obsunęło się, potoczyło i znikło za burtą.

— Caramba!—wrzasnął Gerilleau i rzucił się na spotkanie Holroydowi.

Anglik był właśnie w połowie drabinki sznurowej.

— Widział pan?—zawołał kapitan.

— Trup—odrzekł Holroyd.—To jasne. Dobrzeby było posłać łódź dla zbadania sytuacji. Coś tam jest nie w porządku.

— Czy pan... na miłość boską... widział jego twarz?

— A cóż takiego?

— To była twarz—ach!—nie znajduję słów.

Kapitan nagle odwrócił się od Holroyda i począł energicznie wydawać rozkazy.

Kanonierka zawróciła i poczęła dążyć równolegle do barki; spuszczone szalupę z porucznikiem da Cunha i z trzema ludźmi. Ciekawość skłoniła kapitana do przysunięcia kanonierki na najbliższą odległość do barki, na którą właśnie wchodził porucznik, tak, że Holroyd mógł widzieć całą „Santa Rosę”, od pokładu, aż po dno.

Najwidoczniej załoga składała się tylko z tych dwóch zmarłych ludzi i choć trudno było dostrzec ich twarze, zaciśnięte i pogryzione ręce świadczyły, że podlegali procesowi jakiegoś szczególnego rozkładu. Przez chwilę przyciągały uwagę Holroyda te dwa zagadkowe tłumoki zbrukanego ubrania i rozprężonych członków ludzkich, poczem wzrok jego skierował się na dno barki, napełnione spiętrzonymi kufkami, paczkami, i zatrzymał się wreszcie na małej otwartej kabinie, opustoszonej w nie-

wy tłumaczony sposób. Nagle spostrzegł, że na deskach pokładu roją się czarne, ruchliwe plamki.

Te plamki pochłonęły całą jego uwagę. Poruszały się one w promieniu ciała leżącego człowieka, naksztalt — to porównanie nagłe zjawilo się w myślach Halroyda — tłumy, rozproszonego dokoła areny, po skończonej walce byków.

Spostrzegł, że Gerilleau stał przy nim.

— Kapitanie — rzekł Holroyd. — Czy ma pan lornetę? Czy może ją pan nastawić tak, żeby barkę widać było równie dobrze, jak tę tu podłogę?

Gerilleau wykręcił szkła, zamruczał i podał mu lornetę.

Nastąpiła chwila skupionego badania.

— To są mrówki — powiedział Anglik i oddał lornetę kapitanowi Gerilleau.

Miał wrażenie, że widzi masę wielkich, czarnych mrówek, różniących się od zwykłych tylko wielkością; niektóre największe były jakgdyby przyodzia-  
ne w coś szarego. Holroyd przyglądał się im jednak nazbyt krótko, aby zauważyć szczegóły. Głowa porucznika da Cunha pokazała się z za burty stateczku. Wywiązał się krótki dialog.

— Niech pan wejdzie na „cubertę!“ — zawołał Gerilleau.

Porucznik zaoponował, mówiąc, że barka pełna jest mrówek.

— Ma pan przecież wysokie buty — odrzekł kapitan.

Porucznik zmienił temat rozmowy.

— Ale w jaki sposób zginęli ci ludzie? — zapytał.

Kapitan Gerilleau zapuścił się w hipotezy, których Holroyd nie mógł już zrozumieć, i dwaj oficerowie poczęli dysputować z rosnącą gwałtownością. Holroyd podniósł znów do oczu lornetę i zre-

asumował swoje spostrzeżenia, dotyczące mrówek w pierwszym rzędzie, a w drugim — zmarłego członka, leżącego w barce.

Opisał mi później owe mrówki bardzo szczegółowo.

Powiadał, że były one większe od wszystkich, znanych mu dotychczas; czarne, o ruchach szybkich i zdecydowanych, różnych zupełnie od mechanicznego miotania się zwykłych mrówek. Na każde dwadzieścia, mniej więcej, przypadała jedna, znacznie większa, ze szczególnie wydatną głową. Przypomniały mu one dowódców mrówek, tnących liście; podobnie, jak u tamtych, zdawały się dowodzić i koordynować poruszenia całego tłumu. W szczególnie sposób odrzucały wtył odwłoki, jakby chcąc łatwiej posługiwać się przednimi łapkami. Holroyd miał dziwne wrażenie — z tej odległości jednak trudno było sprawdzić — że większość mrówek, przyodziana w szczególnie sposób, miała jakieś przedmiociki, przyczepione do ciała zapomocą nici błyszczących czy drutu.

Opuścił gwałtownie szkła, spostrzegłszy, że kwestja dyscypliny pomiędzy kapitanem i jego podwładnym zaostrza się niezwykle.

— To pański obowiązek! — wołał kapitan. — Proszę wejść na ten statek! Taki jest mój rozkaz.

Było widoczne, że porucznik chciał odmówić. Głowa jednego z marynarzy, Mulata, wyłoniła się w pobliżu.

— Sądzę, że tych ludzi zabiły mrówki — rzekł gwałtownie Holroyd po angielsku.

Kapitan wybuchnął gniewem. Nie odpowiedział nawet Holroydowi.

— Rozkazałem panu wejść natychmiast na pokład barki! — wszasnął kapitan po portugalsku do swego podwładnego. — Jeżeli pan tego natychmiast

nie robi, będę uważał to za bunt. Za bunt i za tchórzostwo! Gdzie jest odwaga, której powinniśmy składać ciągle dowody? Zakuję pana w kajdany, rozstrzelam, jak psa!

Bluznął potokiem przekleństw, wymyślał, miotał się tu i tam. Potrząsał pięściami, szarpał się, jak w ataku wścieklizny, a porucznik stał nieruchomo i patrzył, blady i milczący. Cała załoga zebrała się na dziobie okrętu; na twarzach wszystkich małowowało się zdumienie.

Nagle, gdy kapitan zamilkł na chwilę, porucznik, jakby zdobywszy się na bohaterskie postanowienie, zasałutował, wyciągnął się i stanął na pokładzie „cuberty”.

— Ach! — zawołał Gerilleau i usta jego zamknęły mu się nagle, jak potrzask.

Holroyd ujrzał mrówki, uciekające przed butami da Cunha. Portugalczyk podszedł wolno do leżącego człowieka, zawahał się, pochwycił go za kurtkę i odwrócił. Czarny potok mrówek wypełznął z ubrania; da Cunha odskoczył wtył gwałtownie i począł tupać i deptać owady.

Holroyd pochwycił lornetkę. Dojrzał mrówki, rozproszone dookoła stóp intruza, zachowujące się w sposób zupełnie inny, niż to widział zazwyczaj. Ich ruchy nie miały nic ze ślepego miotania się zwykłych mrówek; patrzyły na porucznika, jak zorganizowana grupa ludzi mogłaby patrzeć na atakującego ich potwora.

— Dlaczego umarł?! — krzyknął kapitan.

Portugalczyk wyjaśnił, iż ciało jest nazbyt przeżarte, aby można było cokolwiek stwierdzić.

— Co się dzieje na dziobie? — zapytał Gerilleau.

Porucznik wyszedł parę kroków i począł odpowiadać po portugalsku. Nagle zatrzymał się i strząchnął coś gwałtownie z nogi. Wykonał kilka szcze-



gólnych ruchów, jakby usiłując zdeptać coś niewidzialnego, i podbiegł prędko do burty. Opanował się, zawrócił, wszedł z determinacją na dno statku, poczem wdrapał się na przedni pokład, gdzie były przymocowane wiosła, zatrzymał się na chwilę przed drugim trupem, jęknął głośno i poszedł w stronę kabiny dziwnym, sztywnym krokiem. Zaczął rozmowę z kapitanem, zimną, pełną przesadnego szacunku—kontrastującą żywo z poprzednią wściekłością i obelgami kapitana. Holroyd zrozumiał rozmowę tylko częściowo.

Przyłożył znów lornetkę do oczu i ze zdziwieniem stwierdził, że mrówki znikły z widocznych części pokładu. Spojrzał w kierunku cienia na dnie okrętu i wydało mu się, że jest on pełen bacznych oczu.

Zadecydowano, że „cuberta”, choć wyludniona, nazbyt pełna była mrówek, aby mogli na niej zamieszkać marynarze z kanonierki; należało więc barkę zatopić. Porucznik stanął na przodzie, aby pochwycić i umocować linę, a marynarze w szalupie mieli mu pomagać. Holroyd z lornetką w ręku przyglądał się barce.

Coraz większe wrażenie wywierała na nim szybka, wzmożona, choć niedostrzegalna działalność owadów. Widział wyraźnie, że większość olbrzymich mrówek—długości dwóch, a nawet trzech cali—ciągnęła dziwaczne przedmioty, o nieznanym kształcie i niepojętym użytku. Posuwały się one drobnymi skokami, trzymając się w cieniu. Na miejscach odsłoniętych nie ustawiały się w kolumny, tylko szły przerywanymi linjami, które w dziwny sposób przypominały formowanie się kawalerji podczas otwartego ognia. Część owadów kryła się pod odzieżą trupa, ale roje całe zebrały się przy burcie, przez którą miał przejść za chwilę da Cunha.

Holroyd nie widział, kiedy napadły one na porucznika, ale miał pewność, że był to atak zorganizowany... Nagle porucznik począł krzyżeć, kłać, tupać nogami.

— Ugryzły mnie! — wrzasnął, zwracając twarz o wyrazie nienawiści i oskarżenia w stronę Gerilleau.

Przeskoczył przez burzę, ześlizgnął się z łodzi i skoczył do rzeki. Holroyd usłyszał gwałtowny plusk wody.

Trzej marynarze wciągnęli oficera do szalupy i odwieźli na statek. Też same nocy umarł.

### III

Holroyd i kapitan wyszli z kabiny, gdzie spoczywało spuchnięte, poskręcane ciało porucznika, i stanęli pod latarnią, patrząc na ponurą barcę.

Noc była ciemna i nieprzenikniona; rozjaśniały ją tylko widmowo błyskające zarnice.

„Cuberta” — niewyraźny, czarny trójkąt — płynęła bródzą wodną śladem kanonierki, a opuszczone jej żagle trzepotały w powietrzu, a czarny dym z kominów parowca, skrzący iskrami, osnuwał jej chwiejące się maszty.

Myśli Gerilleau powracały co chwila do strasznych słów, które porucznik krzychał w strasliwej gorączce.

— Powiedział mi, że go zamordowałem — protestował — to jest absurd. Ktoś przecie musiał wejść na barcę. Czy mieliśmy uciekać przed temi przekłętymi mrówkami, jak tylko się pokazały?...

Holroyd nic nie odpowiedział. Przypominał sobie zorganizowany atak tych drobnych, czarnych stworzeń, wyłaniających się z zalanych słońcem szpar w deskach pokładu.

— Do niego właśnie należało tam pójść—dowodził Gerilleau.—Umarł, pełniąc swoją powinność. Jakiż miał powód do skarg? Zamordowany! Ależ ten biedak był zupełnie—jakże to?—pomyłony. Nie był już przy zdrowych umysłach. Takie to działanie trucizny... Hm!

Nastąpiło długie milczenie.

— Trzeba zatopić to czółno—spalić.

— A co potem?

Pytanie to rozgniewało Gerilleau. Wzruszył ramionami i wyrzucił przed siebie ręce, pod kątem, prostym do ciała.

— A co można poradzić?—głos jego zadźwięczał gniewnym dyskantem.—W każdym razie—dodał mściwie—mrówki z tej właśnie „cuberty”—zginą! Spalę je żywcem.

Holroyd nie miał chęci do rozmowy. Dalekie pohukiwania wyjców napelniły noc złowieszczymi dźwiękami, a kiedy kanonierka przybliżyła się do czarnych, tajemniczych ławic—rozległo się przynębiające rechotanie żab.

— Cóż można poradzić?—powtórzył kapitan po dłuższej przerwie i nagle, stając się czynny, postanowił natychmiast spalić „Santa Rosę”, bez dalszego gadania. Cała załoga była zachwycona tą decyzją; wszyscy prześcigali się w gorliwości; przecięto linę, spuszczone szalupę i poczęto rzucać do „cuberty” pęki kłaków, nasyconych naftą. Barka wkrótce zatrzęszczała i buchnęła wesolym płomieniem, pośród bezmiar tropikalnej nocy. Holroyd patrzył na żółte języki ognia, walczące z ciemnością, i na blade błyskawice, oświetlające szczyty leśnych drzew.

Mulat, poruszony aż do głębi swoich zasobów lingwistycznych, wykrzyknął:

— Santa robić trak, trak! chuhaha! — i zarżał donośnym śmiechem.

Ale Holroyd myślał o stworzeniach na krytej barce, o stworzeniach, posiadających oczy i mózgi.

Cała ta sprawa wydawała mu się nieprawdopodobną, pomyłką i błędną, ale—co robić? To zagadnienie wzrosło niepomiernie następnego dnia, kiedy kanonierka zawinęła wreszcie do Badawy.

Okolica—z krytami zeszcłem listowiem domami i oborami, z młynem do mielenia trzciny cukrowej, owiniętym przacą się roślinnością, z małą zatoczką, otoczoną krzewami i trzcina—okolica drzemiała spokojnie w porannym upale; nie widać było ani śladu człowieka. Co zaś do mrówek—za małe były, aby z tej odległości dało się je dostrzec.

— Cała ludność ziała—oświadczył Gerilleau—ale weźmy się do roboty. Puść pan syrenę, niech gwizdzel! I Holroyd począł huczeć i gwizdać.

Tymczasem kapitana ujęły wątpliwości najgorszego rodzaju.

— Możemy robić tylko jedno—powiedział wreszcie.

— Cóż takiego? zapytał Holroyd.

— Nawoływać i gwizdać dalej.

Tak też i uczynili.

Kapitan chodził po pokładzie i gestykulował; widać było, że myśli tłoczą mu się w głowie. Z warg jego wyrwały się niepowiązane słowa. Zdawał się wygłaszać mowę przed jakimś urojonym trybunałem hiszpańskim czy portugalskim. Wprawniejsze obecnie ucho Holroyda odróżniło coś tam na temat amunicji. Nagle kapitan wyraził swoje wątpliwości po angielsku.

— Mój drogi Holroydzie...—zaczął i urwał.—Co można wogóle na to poradzić?...



Wsiedli do szalupy, zabrali lornetki i pojechali zbadać rzecz na miejscu. Ujrzeni wielkie mrówki, które zdawały im się spokojnie przyglądać z prymitywnej przystani w zatoce. Gerilleau strzelił do nich kilkakrotnie z pistoletu—bezszykownie. Holroydowi zdawało się, że odróżnia szczególnego kształtu rowy, biegnące od domu do domu; niewątpliwe dzieło owadów, władających obecnie ludzkiemi siedzibami. Podróźni minęli zatokę i ujrzeni zdaleka szkielet ludzki z przepaską na biodrach, szkielet gładki, czysty, błyszczący. Zatrzymali się na chwilę, patrząc uważnie.

— Odpowiadam przecież za wszystkie te życia ludzkie—powiedział nagle Gerilleau.

Holroyd odwrócił się i popatrzył na kapitana; zrozumiął dopiero po chwili, że ten ma na myśli załogę kanonierki.

— Posłać oddział na ląd? To niemożliwe... niemożliwe... Zatrują się, zaczną puchnąć i puchnąć, i wymyślać mi, i umierać. To absolutnie niemożliwe! Jeżeli mamy lądować, muszę wylądować sam, sam, w grubych butach i nie dbając o życie. Może mi się uda. Albo... nie lądować. Nie wiem. Nie wiem.

Holroyd pomyślał, że kapitan jednak chyba wie... Ale nie rzekł słowa.

— Całą tę aferę—powiedział nagle Gerilleau—przedsiewzięto tylko po to, żeby mnie ośmieszyć. Całą aferę!

Opłynęli brzeg, przyglądając się białemu szkieletowi ze wszystkich stron, poczem wrócili na statek.

Niezdecydowanie Gerilleau wzrastało z chwili na chwilę. Puszczono parę i po południu kanonierka popłynęła w górę rzeki, jakgdyby chciała kogoś o coś zapytać. O zachodzie powróciła i zarzuciła kotwicę w tem samym miejscu. Nadeszła wściekła burza, a potem noc stała się rozkosznie chłodna

i cicha; wszyscy spali na pokładzie. Wszyscy, prócz Gerilleau, który przewracał się i mamrotał.

O świcie obudził Holroyda.

— Boże! co się stało?

— Zdecydowałem się—powiedział kapitan.

— Co?... ładować?—zapytał Holroyd, zrywając się wesoło.

— Nie—odrzekł kapitan, z nagłą rezerwą.—Zdecydowałem się—powtórzył. Holroyd nie mógł powstrzymać gestu zniecierpliwienia.

— Więc... tak!—powiedział nareszcie kapitan *Będę strzelał z wielkiej armaty!*

Tak też uczynił. Bóg raczy wiedzieć, co myślały sobie o tem mrówki, ale uczynił, jak powiedział. Dwa razy zakomenderował:—„Ognia!”—z wielką powagą i namaszczeniem. Załoga zatkała sobie uszy watą. Wszystko wyglądało bardzo uroczyście, tylko od pierwszego wystrzału zawałił się stary młyn, a od drugiego—opuszczony skład za przystanią rozpadł się w kawałki. Wtedy Gerilleau przyszedł do nieuniknionego wniosku:

— To nanic!—powiedział Holroydowi—zupełnie nanic. Niema co tu robić. W żaden żywy sposób! Trzeba wracać po instrukcje. Zrobi się z tego wszystkiego djabelny gwałt—przez tę amunicję—ale to djabelny!... Niema pan nawet pojęcia!—Stał przez chwilę, patrząc przed siebie w rozterce. —Ale cóż innego można było zrobić?—zawołał.

Po południu kanonierka popłynęła z prądem, a wieczorem oddział marynarzy pochował ciało porucznika przy brzegu, w miejscu, dokąd jeszcze nie dotarły wrówki.

#### IV

Całą tę historję słyszałem fragmentarycznie od Holroyda przed trzema tygodniami. Ten nowy ga-

tunek mrówek zabił mu ćwieka w głowę. Powrócił do Anglii z ideą, że należy „przestrzec ludzi, nim będzie za późno”. Twierdzi, że mrówki poczynają zagrażać Guyanie, która znajduje się nie więcej, niż o tysiąc mil od terenu ich obecnej działalności i że ministerjum kolonij powinno zająć się tą sprawą. Holroyd powtarzał namiętnie:

— To są mrówki, obdarzone inteligencją. Zrozumieście, co to znaczy!

Istotnie plaga przedstawia się bardzo groźnie i rząd brazylijski postępuje rozsądnie, wyznaczając nagrodę w kwocie pięciuset franków za niezawodną metodę zwalczania tej kłeski. Pewne bowiem, że mrówki pojawiły się po raz pierwszy na wzgórzach w pobliżu Badawy i w ciągu trzech lat dokonały niesłychanych podbojów. Całe południowe побереże rzeki Batemo, ciągnące się na przestrzeni sześćdziesięciu mil, pozostaje pod ich wyłącznym władaniem. Usunęły wszystkich ludzi, zajęły plantacje i osady, napadły wreszcie i owdładnęły jednym ze statków. Powiadają też, że w niepojęty sposób przekroczyły odnogę Capuarany i posunęły się na wiele mil z biegiem Amazonki. Należy wątpić, czy są rzeczywiście rozumniejsze i czy są połączone w społeczeństwa doskonalsze, niż znane nam dotychczas gatunki mrówek; tyle tylko, że nie żyją rozproszone gromadami, lecz zorganizowały się i stworzyły jeden naród; ich specyficzną i efektywną wyższość stanowi sposób, w jaki posługują się jadem wobec wroga. Trucizna ich jest, zdaje się, pokrewna jadowi węży i bardzo prawdopodobne, że owe mrówki wyrabiają ją sztucznie i że większe osobniki noszą jad przy sobie, podczas napadów na ludzi, w formie kłujących kryształków.

Niewątpliwie, niezmiernie trudno jest podać szczegółowe informacje o tych nowych pretenden-

tach do suwerennego władania kulą ziemską. Zaden ze świadków ich działalności nie uszedł z życiem; posiadamy więc wiadomości, pochodzące z obserwacji niedokładnych, jak na przykład, Holroyda. Najdziwniejsze legendy o zdolnościach i sprawności owych mrówek krążą w regionach górnej Amazonki. Urastają one do rozmiarów najokropniejszych najeźdźców, jakich może spłodzić ludzkie strach. Wierzę—jeżeli o mnie chodzi—dziwne stworzonka umieją używać narzędzi, ognia i metali z wprawą zawodowych mechaników, przerastającą nasze dotychczasowe o nich pojęcia—bo ostatecznie nie znamy możliwości tych Saübas, które na przykład, w 1841 roku, w pobliżu Rio de Janeiro przebiły tunel pod Parahiba, ciągnący się na przestrzeni, większej od szerokości Tamizy pod Londynem. Działają one w myśl opracowanych i dokładnych metod, analogicznych do metod ludzkich. Dotychczas akcja ich zmierza do ekspansji terytorjalnej, która wywołuje paniczną ucieczkę lub rzeź ludzi na opanowywanych przez nie przestrzeniach. Rozmnażają się z ogromną szybkością i Holroyd jest nieodparcie przekonany, że mrówki owe wytępią całkowicie ludzi na przestrzeni całej Ameryki Południowej.

Ale czemużby miały poprzestać na Ameryce Południowej?

Jak dotychczas, rozszerzają tam swe podboje. Około 1911 roku albo coś koło tego, jeżeli będą się posuwały z dotychczasową szybkością, opanują Capuarana Extension Kailway (linję kolejową) i narzucają się tym sposobem uwadze europejskich kapitalistów.

Około 1920 roku opanują połowę dorzecza Amazonki. Twierdzą, że w 1950 roku, a najpóźniej w 1960 roku odkryją Europę.

## Z MATECZKĄ NA MÖRDERBERGU

Opowiadałem już, zdaje się, jakiem dosiadał mego pierwszego aeroplanu, na którym dane mi było pobić pewnego rodzaju rekord w Arozje: spadałem, mianowicie, w ciągu trzech dni kolejno do trzech rozpadlin skalnych. Stało się to, zanim mateczka przyjechała. Od pierwszego spojrzenia zorientowałem się, że jest zmęczona, wyczerpana, zmordowana, więc też, nie chcąc, ażeby poczęła obnosić swoje troski po hotelu, ani żeby dostała się w samo gniazdo wściekłych plotek, zapakowałem ją i dwa plecaki i powiodłem ją na długą, orzeźwiająca, zupełnie łatwą wycieczkę w kierunku północnym. Dopiero pęcherz na matczynej nodze zmusił nas do wylądowania w „Magenruhe” — hotel na Scheejochu. Z pęcherzem czy bez pęcherza — mateczka chciała iść dalej (nie zdarzyło mi się spotkać w życiu większego zucha od mojej matki) ale ja powiedziałem:

— Nie. Mamy tutaj turystyczne schronisko i to mi się z gruntu podoba i nietylko z gruntu, ale i z nieba. Będziesz tu mogła siadywać sobie na w randzie z lunetą, a ja powspynam się trochę na szczyty.

— Tylko bez wypadków — odpowiedziała mi na to.

— Nie mogę obiecać, mateczko — odrzekłem — ale w każdym razie będę pamiętał, że jestem twoim jedynym synem.

Z tem wyruszyłem.

Zbyteczne tłumaczyć, że po upływie paru dni byłem ze wszystkimi turystami w schronisku na stopie wzajemnego traktowania się per „idjota”. Nie znosili mnie poprostu. Nie lubili mojej szyi z wydatną grdyką — byli to bowiem przeważnie ludzie z głowami, wciśniętymi w ramiona — nie podobał im się mój sposób bycia i zadzierania mego lotniczego nosa w kierunku szczytów. Nie odpowiadało im, że jestem jaroszem i że jest mi z tem dobrze, nie podobała się im rdzawa i zielona „iskra” w moim prostym wełnianym garniturze. Wszyscy oni byli z tego zakazanego gatunku ludzi, których nazywam wytwornie sowami — ostrożni, prawomyślni, przeważnie z Ofksordu, solenni, traktowali swoje wspinaczki z namaszczeniem mały, mierzącej okulary. Rozsądni to byli, z rodzaju tych, co kręcą głowami na temat: „Jabym się na to nie pisał”. Postępowali zawsze, zgodnie ze wskazówkami podręczników i przewodników i sami się oceniali według ilości odbytych sezonów górskich: jeden miał dziewięć sezonów, inny — dziesięć i tak dalej. Ja byłem nowicjuszem i miałem, według nich, czerpliwie czekać aż się co i dla mnie okroi.

I to ja! Kpiny!

Siedziałem kiedyś w palarni, pykając fajeczkę z higienicznym tytoniem — ich zdaniem wydzielał on zapach palonego zielska — czekając, aż będę mógł wstawić słowo i przelać nieco światła w ich umysły. Oni tymczasem odsunęli na stronę wzajemne niechęci i połączyli swoje siły, aby mi dać do zrozumienia, jak dalece im się nie podobam.

— Słuchajcie, chłopcy, traktujecie te osławione

góry za poważnie—powiedziałem—to jest drobiazg; należy je brać na wesoło.

Spojrzeni na mnie okrągliemi ze zdziwienia oczyma.

— Nie bawi mnie wcale cały uroczysty zamęt, jaki dokoła tego wszystkiego czynicie. Alpinisci dawnego autoramentu szli w góry z kijem, liną i lekkim sercem. Taki też jest i mój stosunek do tych spraw.

— Ale nie nasz! — powiedział jakiś ugotowany na czerwono bohater wysokogórski, cały w pęcherzach i z luszczącą się skórą. Powiedział to w sposób, który miał być miażdżący.

— Mój pogląd jest słuszny — powiedziałem pogodnie, wypuszczając kłęb dymu z mojej higienicznej fajki.

— Jak pan będzie miał trochę więcej doświadczenia, osądzi pan trafniej—rzekł inny przywiedły młodzieniec, z małą, szarą bródką.

— Doświadczenie nigdy mnie niczego nie nauczyło — odpowiedziałem.

— To widać — powiedział ktoś i odwrócił się. Przyjąłem to z idealnym spokojem.

— Mam zamiar pójść na Märderberg, nim stąd wyjadę — rzekłem z flegmą i wywołałem sensację.

— A kiedyż pan wyjeżdża?

— Za tydzień albo coś w tym guście.

— To nie jest wspinaczka, na którą może się ważyć turysta w pierwszym roku—powiedział luszczący się jegomość.

— Pan już zupełnie nie ma na to danych.

— Żaden przewodnik z panem nie pójdzie!

Zwarjowany pomysł.

— Przechwałki.

— Chciałbym widzieć, jak on to zrobił!

Pozwoliłem im kipieć z wściekłości, a kiedy opadli nieco poniżej punktu wrzenia, wtrąciłem:

— Chętnie zabrałbym ze sobą mamę. Jest co-prawda, drobna, ale chwalić Boga, wytrzymała, jak stał.

Oni jednak poznali po moim złe ukrytym uśmiechu, że ich prowokuje, więc poprzestali na nieartykułowanych dźwiękach i przyciszonych uwagach, który to gwar przypominał do złudzenia chrząkanie świń. Wreszcie ucięli małą rozmówkę w pół-tonach, wyłączając całkowicie moją osobę. Wszystko to wzmocniło jeszcze moje postanowienie. Jestem uparty, jak sobie co wbiję do głowy, więc postanowiłem, że mateczka *pójdzie* na Mörderberg, gdzie jeszcze nie była połowa tych uroczystych goryli, *pójdzie*, choćbym miał stamtąd wrócić trupem lub sierotą. Rozmówiłem się z nią następnego dnia. Leżała na werandzie, owinięta w pledy, i patrzyła na szczyty.

— Wygodnie?—zapytałem.

— Bardzo.

— Wypoczywasz?

— Tu jest tak przyjemnie.

Podszedłem do poręczy werandy.

— Spójrz na ten szczyt, mamusiul!

Skinęła beztrudno głową, z wółprzymkniętymi oczyma.

— To jest Mörderberg. Ty i ja będziemy tam pojutrze.

Matka leniwie dodniosła powieki.

— Czy tam nie będzie aby bardzo stromo?—zapytała.

— Ja już wszystko doskonale urządzę—powiedziałem, poczem mateczka uśmiechnęła się przyzwalająco i zamknęła oczy.



— No, jeżeli ty to bierzesz na siebie...—odrzekła.

Tegoż dnia zszedłem w dolinę do Daxdam, ażeby zaopatrzyć się na drogę, wynająć przewodników i tragarzy, dzień zaś następny spędziłem powyżej hotelu na trenowaniu się i zapoznawaniu ze skałą i lodowcem. To mi nie przysporzyło popularności. Poślizgnąłem się zlekka dwa razy. Raz mnie zniosło do jakiejś rozpadliny—mam widocznie szczególne szczęście do rozpadlin—i trzech nieznanymi mi turyści, którzy wybrali się na Kinderspitz, wyciągali mnie stamtąd przez półtorej godziny. Drugim razem wypuściłem z ręki czekan wprost na głowę niewielkiej wycieczki, zdążającej na lodowiec Humpi. Czekan przeleciał zresztą w odległości trzydziestu cali od nich i nie dotknął nikogo, ale w ryku, jaki się rozległ po tym drobnym wypadku, mogło się zdawać, że rozwaliłem wspólny łeb całej kompanji. Trudno sobie wyobrazić, jak się oni wszyscy brzydtko wyrażali, nie wyłączając trzech pań, należących do wycieczki.

Następnego dnia zorganizowano w hotelu formalny zamach, aby zapobiec naszemu wyruszeniu. Sprowadzono gospodarza, perswadowano mojej matce, oczerniono w niedościgniony sposób charakter naszych przewodników. Brat gospodarza wrzeszczał głośniejsz od innych:

— Dwa lata temu —twierdził— zatracili gdzieś swego turystę.

— To jeszcze nie powód—odrzekłem—abyś pan teraz tracił głowę.

W rezultacie zapomniał języka w gębie. Nie był dotychczas przyzwyczajony do gry słów i mój kalambur stanął mu kością w gardle.

Potem przyszedł łuszczący się gentleman i próbował zbadać nasz ekwipunek:

— Czyście wzięli to?... — pytał.—Czyście wzięli tanto?...

— Dwóch rzeczy nie zapomnieliśmy — powiedziałem ostro, przyglądając się uważnie jego nosowi—niebieskich woalek i—wazeliny.

Dotychczas doskonale pamiętam chwilę naszego wyruszenia. Była tam przełęczka, położona o paręset stóp poniżej hotelu, i hotel—cały w splendorze nazwy swojej—stojący na wielkiej, posępnej, skalistej wyżynie, wprost ciężkiego zwału zielonych, uwarstwionych skał, popstrzonych tu i tam polaciami śniegu i ciemnymi plamami rododendronów, skał, wznoszących się na tysiące stóp w kierunku zachodniej krawędzi łańcucha górskiego. Ścieżka biegła przed nami wśród głazów, przeskoczyła po kamieniach przez rzeczkę, a następnie skierowała się do góry, wzdłuż strumienia, poprzez lodowiec Magenruhe. Tam przeszliśmy przez skałki na lewo i potem po pochyłości lodowej dostaliśmy się na wąską półkę, wiszącą nad przepaścią na zachodnim zboczu. Był świt, słońce tylko co wzeszło i wszystko dokoła nas było zimne, błękitne i ogromne. Turyści w komplecie wyszli z hotelu, aby nam uściśnąć dłoń na odchodnym—niektóre negliże nie odznaczały się pięknosciami—i stali milczącą gromadą, czekając aż ruszymy. Ostatnie słowa, które mnie doszły, były:

— Wróć z powrotem!

— Ależ, naturalnie, wrócimy—odrzekłem.—Niema obawy!

I takieśmy poszli w swoją drogę. Chłodni, poważni, wzdłuż strumienia, wyżej i wyżej, poprzez urwiste pola śnieżne i lodowe przełęcze Mörderbergu. Pamiętam, że szliśmy czas pewien w zupełnym milczeniu, aż nagle cały kraj zajaśniał od słoń-

ca i w jednej chwili jakgdyby odtajały nam języki, poczęliśmy rażno nimi obracać.

Miałem ze sobą jedną czy dwie rzeczy, których nie pokazałem turystom w schronisku, podobnie jak nie trudziłem się wyjaśnianiem, czemu zabieram pięciu tragarzy dla noszenia ładunku, któremu poddałoby bez mała dwóch. Ale, kiedyśmy doszli do lodowca, pokazałem, co potrafię, i wyciągnęłem mocny, sznurkowy hamak dla matki. Ułożyliśmy ją wygodnie, zaszyliśmy kilkoma ściegami w kołdrę wełnianą, poczem uwiązaliśmy się wszyscy liną: przewodnicy—na końcu i na początku pochodu, ja — przedostatni, a mama—wśrodku, niesiona przez dwóch tragarzy. Przetknąłem swój kij alpejski przez dwa otwory, które zrobiłem w kurtce pod plecakiem, tak, że ciało moje przybrało kształt litery „T”; w ten sposób, wpadając do rozpadliny, co mi się przytrafiało zawsze i wszędzie, opierałem się kijem o brzegi i wydostawałem się na zewnątrz z łatwością, gdy naciągnięto linę. Tak więc szliśmy w górę bez przygód, jeżeli nie liczyć jednego czy dwóch guzów, które pobudziły tylko mamę do śmiechu.

Doszliśmy wreszcie do stromej skały, wymagającej poważniejszego namysłu. Trawersowaliśmy z gzymsów na półki skalne, jak się dało, i tutaj mateczka okazała się prawdziwym darem bożym. Przerzuciwszy ją przez większą szczelinę—zapomniałem jak to się nazywa — która się tworzy między lodowcem i skałą, rozpakowaliśmy mamę z pleców.

Kiedyśmy podchodzili do nowej półki, leżącej nie dalej, niż o osiem stóp od tej, na którejśmy stali, dwaj przewodnicy podrzucili mateczkę do góry (tak była lekka). Stojąc już mocno na tamtym gzymsie, mateczka podawała nogę następnemu, który chwycił za nią i wciągał się do góry. W rezul-

tacie mama twierdziła, żeśmy jej naderwali kolano, co ją i mnie pobudziło do wybuchów tak szalonego śmiechu, że reszta wycieczki musiała się zatrzymać.

Ta mała wspinaczka była zdrowo męcząca — dwie godziny upłynęły, nimeśmy doszli do grani, usianej tam i sam wielkimi głazami.

— Gorzej będzie ze schodzeniem — powiedział starszy przewodnik.

Spojrzałem za siebie i z początku — muszę się przyznać — doznałem zawrotu głowy. Widać było lodowiec, tak maleńki w oddaleniu, i czarna, ziejącą szczyrbę między nim i skałą.

Przez pewien czas było naprawdę przyjemnie iść wzwyż skalną granią; nic wówczas nie zaszło godnego uwagi, jeżeli nie liczyć narzekania jednego z tragarzy, któremu straciłem na nogę kamień. — „Gdzie drwa rąbia, tam wióry lecą” — odpowiedziałem.

Tragarz udał, że nie słyszy, i kiedym stracił drugi kamień, wybuchnął długą, płaczliwą przemową, w języku, który on sam, najwidoczniej, uważał za niemiecki — ja zaś nie mogłem w nim dojść ładu ani składu.

— On powiada, że mogłeś go zabić — zauważyła mateczka.

— Tak powiada? — odparłem. — Więc cóż takiego? Niech sobie mówi.

Byłem za tem, żeby się zatrzymać i dać mu się napchać jedzeniem, ale starszy przewodnik się nie zgodził.

— Straciliśmy już dosyć czasu — twierdził — a droga po przeciwnym uboczcu góry będzie groziła lawinami, gdy słońce się podniesie.

Poszliśmy więc dalej. Kiedyśmy okrażali grzbiet skalny, obejrzałem się w stronę hotelu — był, jak

mała, podłużna plamka — i machnąłem szyderczo pod adresem tego, który w tej chwili mógł patrzeć na nas przez lunetę.

Idąc dalej, poruszyliśmy lawinę, co pobudziło naszego ostatniego przewodnika do głośnej modlitwy, aleśmy nic nie oberwali, prócz kilku płatów śniegu. Reszta przeszła w odległości paru jardów poza nami. Wisieliśmy właśnie na skale; gdy lawina znikła wdole poczęliśmy znowu się wspinać, podpierani przez traGARzy, po stopniach, które wyrąbywał w lodzie pierwszy przewodnik. Lawina była bardzo wspaniała, pókiśmy jej nie zobaczyli zbliska; póki huczała i grzmiała nad naszymi głowami i wywoływała groźne echo w błękitnych gębiach skał; jednakże zbliska przedstawiła się jak najprozaiczniej — większość kamieni była mniejsza ode mnie.

— Wszystko w porządku? — zapytał przewodnik.

— W porządku — odparłem.

— Mam nadzieję, że jest bezpiecznie, mój drogi? — zapytała mateczka.

— Bezpiecznie, jak na Trafalgar Square — odrzekłem. — Hop do góry, mateczynku!

Co też ona uczyniła z niezwykłą zrećnością.

Trawers wyprowadził nas wreszcie na wieczne śniegi i tam też urządziliśmy postój — byliśmy oboje okropnie radzi i ze śniadania, i z wypoczynku. Tymczasem wynikł zatarg z przewodnikami i traGARzami. Byli już uprzednio nieco rozgniewani moim ożywionym marszem ze spuszczeniem wdół kamieni, a teraz narobili strasznego hałasu, że zabrałem ze sobą, zamiast wódki, rodzaj bezalkoholowej imbirówki. Żebyż to chcieli przynajmniej spróbować! Nawet się nie zaczynało. Wynikła osobliwa dysputa, dziwnie brzmiąca w tem rozrzedzonym powietrzu, o wartościach odżywczych pewnych potraw i o ko-

rzyściach smarowania chleba masłem kokosowem. Ludzie ci uparcie obstawali przy skażonem szkodliwem odżywianiu. Żądali mięsa, żądali alkoholu, domagali się narkotyków do palenia. Zdawałoby się, że górale, żyjący w stałem zetknięciu z naturą, będą chcieli pożywienia naturalnego: protozy, płombozy, dygestyny i witaminy. Nigdy w życiu! Oni właśnie pragnęli wynaturzenia. Kiedym mówił o picciu czystej wody, jeden z tragarzy splunął ostentacyjnie i symbolicznie do przepaści. Od tej chwili wycieczka odbywała się pod znakiem niezadowolenia.

Ruszyliśmy coś około pół do jedenastej, po nieudanym wysiłku pierwszego przewodnika, aby zawrócić nas zpowrotem. Mieliśmy przed sobą to, co się pospolicie nazywa najtrudniejszą partją wejścia na Mörderberg—krawędź, prowadzącą w górę do pół śniegowych, poniżej szczytowego grzebienia. Ale tutaj dostaliśmy się w ciąg ciepłego powietrza, wiejącego od południo-zachodu, i wszystko działało się, jak twierdził przewodnik, niezwykle. Zazwyczaj krawędź pokryta jest lodem, przylegającym szczelnie do skały. Dzisiaj było tam miękko i mokro; nogi zagłębiały się po kostki i z łatwością można było wyczuć pod butami skałę.

— Stąd właśnie spadła wycieczka pana Tomlinsona — powiedział jeden z tragarzy, kiedyśmy już od jakich dziesięciu minut zaufali tej krawędzi.

— Są tacy, którzy potrafią spaść z łożka—odrzekłem.

— To wszystko zamarźnie, nim wrócimy—rzekł drugi przewodnik — a my nie będziemy mieli nic w żołądku, poza tym przeklętym imbirem.

— Naciągnijcie lepiej linę—odpowiedziałem.

Jakaś przyjacielska listwa skalna okazała się mateczce szczególnie pomocną, właśnie w chwili,

gdy zaczęła poddawać się zmęczeniu, więc zaczęliśmy ją znowu i poczęliśmy pieczołowicie ciągnąć w górę. Trochę się przytem potłukła o skały, od czasu do czasu zawisała nad przepaścią, kołysząc się z wolna na sznurach.

— Mój drogi—zapytała z początku—czy nie zaszkodzi mi to wszystko, co się tu dzieje?

— Ależ skąd?!—odrzekłem—gdybyś tylko mogła w tej chwili znaleźć sobie jakie oparcie dla nóg.

— Jesteś pewien, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, kochanie?

— Ani krztyny!

— I czy ja was nie męcę?

— Przeciwnie, jesteś dla nas bodźcem.

— Widok—dodała—staje się, naprawdę, coraz piękniejszy.

Ale widok właśnie się zaćmił i znaleźliśmy się w chmurach, w ostrej, kłującej zadymce śnieżnej.

Przybyliśmy około pół do pierwszej na górne pole śnieżne, gdzie śnieg okazał się niezwykle puszysty. Starszy przewodnik zapadł się aż po pachy.

— Trzeba tu udawać żabę—powiedziałem i sam począłem rozgarniać śnieg w pozycji, jak do pływania. Tak radziliśmy sobie w ciągu całej drogi do grzędy i wzdłuż niej. Posuwaliśmy się naprzód drobnymi skokami, zatrzymując się dla złapania tchu. Mateczkę ciągnęliśmy w hamaku. Czasem śnieg był tak twardy, żeśmy doskonale mogli stąpać po powierzchni; czasem jednak okazał się podtajany od spodu, żeśmy się zapadali i przewracali. Szedłem za blisko śnieżnej krawędzi, która też załamała się pode mną, ale lina mnie uratowała. Osiągnęliśmy wierzchołek około trzeciej godziny bez dalszych przygód. Wierzchołek okazał się oczywiście gołą skałą z kupą kamieni i wetkniętą w nie zerdzią. Nie było tam żywej duszy. Zadymka i mgła

zniknęły, słońce paliło mocno, a myśmy stali w górze, jakby pilnując całej Szwajcarii. Hotel „Magenruhe” mieliśmy pod nogami, zakrywały go poprostu nasze podbródki. Przycupnęliśmy na kamieniach i przewodniczący, oraz tragarze znów musieli poprzestać na imbirówce i jarskich butersznytach. Ja tymczasem wycinałem i wydrapywałem napis, głoszący, że wszedł na skałę, odżywiając się higienicznie, i zauważyłem trafnie, że w tej dziedzinie osiągnąłem rekord, który mi trzeba przyznać. Widok na pola śnieżne, leżące z północno-wschodniej strony zbocza, był niezmiernie pociągający, zapytałem też głównego przewodnika, czemu nie praktykuje się tego wejścia. Zaczął mi mówić coś o przepaściach w swoim szczególnym, jakoby niemieckim języku.

Dotychczas wejście nasze odbywało się bardzo porządnie, choć w tempie raczej powolnem. Dopiero przy schodzeniu zdobyliśmy się na nieprzewidywaną oryginalność. Nie chciałem ciągnąć z powrotem liny poprzez górne złożę śnieżne, gdyż ręce i nogi mateczki były zimne; poleciłem jej, aby poskakala trochę dla rozgrzewki. Nagle, zanim zdążyłem czemukolwiek zapobiec, matka poślizgnęła się i potoczyła wdół po pochyłości, torując sobie drogę aż do owej osławionej przepaści.

Nie upłynęła chwila, kiedy pomknąłem za nią, z podniesionym czekaniem, ślizgając się po śniegu. Nie zdaję sobie sprawy, jak właściwie miałem zamiar postąpić, ale przywidziało mi się, że trzeba ją przegonić i zahamować.

W każdym razie, nic z tego mi się nie udało. Po dwudziestu sekundach przewróciłem się i poleciałem wdół na siedząco, nie kontrolując więcej swoich ruchów.

Największe odkrycia są dziełem przypadku i twier-



dzę, że w owej chwili, zarówno ja, jak mateczka, wynaleźliśmy dwa różne i całkowicie nowe sposoby schodzenia ze szczytów.

Potrzebna jest do tego przedewszystkiem pochyłość, pokryta śniegiem, na podłożu lodowem, śniegiem miękkim i syplikim; dalej — przepaść, do której spada ośnieżone zbocze, o nachyleniu gwałtownem początkowo, a potem mniej stromem; i znów — zbocza, i znów przepaści, ile dusza zapraśnie. Wszystko to powinno kończyć się polem śniegu albo lodowcem nie nazbyt spękanym, albo wreszcie terenem, rozsądnie pochylonym, nie przedładowanym nadmiernie skałami. Wtedy rzecz się staje prosta, jak zjeżdżanie z górki na saneczkach.

Mateczka obrała metodę zjeżdżania na boku. Toczyła się poprostu w ciągu pół minuty, śnieg był lepki, zamieniła się mateczka na śliczną kulę śnieżną, która mogła stanowić jądro najbardziej imponującej lawiny. Cała masa śniegu leciała przed nią — i to właśnie było istotą obydwóch metod, zarówno jej, jak i mojej. Chodzi o to, aby spadać na śnieg, a nie żeby śnieg spadał na nas, co grozi zmiążdżeniem. Ważne jest też, aby się nie mieszać za bardzo z lejącymi kamieniami.

Co się mnie tyczy, zjeżdżałem nogami naprzód, trochę nakształt pługu śnieżnego; wolniej, niż mateczka, z mniejszym wdzikiem, ale z większą zato dystankcją. Mogłem też więcej widzieć. Ale co za wściekły pęd! Gardło mi się ścisnęło, kiedym nagle zobaczył, jak mateczka podskoczyła w powietrzu i znikła za krawędzią.

Zlatywałem po zboczu, jak na oszalałych saneczkach, a kiedym się znalazł z kolei na brzegu przepaści, wszystko stało się, jak we śnie. Sądziłem zawsze, że uczucie spadania musi być okropne. Ani trochę! Spędziłbym tak chętnie parę tygodni,

zawieszony w powietrzu, otoczony chmurą i zawieją śniegu. Wielka była moja pogoda ducha w tej chwili. Zdawało mi się, co prawda, że właściwie już się za-  
biłem, ale to nie miało znaczenia. Nie czułem prze-  
rażenia—nic podobnego!—nawet nie było mi niewy-  
godnie. Pał! Uderzenie, skok w powietrzu—i już mi  
się zdawało, że się rozleciałem na kawałki. Nigdy  
w życiu! Spadliśmy poprostu na niższe pole śnież-  
ne i to pod kątem ostrym, co osłabiło siłę uderze-  
nia. I znów zaczęliśmy zjeżdżać. Od tej chwili nie-  
wiele już widziałem, gdyż miałem pełno śniegu do-  
okoła głowy. Zachowałem pozycję siedzącą, z no-  
gami na przodzie. Zwalniałem, przyśpieszałem bie-  
gu kilkakrotnie; odskakiwałem, odbijałem się tak  
długo, aż wreszcie zaznałem spokoju. Tym razem  
byłem zupełnie zagrzebany w śniegu, przekreślony  
nabok, z przygniecionem prawem ramieniem. Przez  
chwilę byłem rad z tego bezruchu; ale nagle za-  
niepokoiłem się, co się stało z mateczką, i usiadłem,  
chcąc wyswobodzić się ze śniegu. Zadanie nie by-  
ło tak łatwe, jakby się mogło zdawać. Śnieg spię-  
rzył się dokoła mnie, pełen dziur, jak olbrzymia  
gąbka; złościłem się, walczyłem i kłamię tak długo,  
aż się wygrzebałem. Wypełznawszy na zewnątrz,  
znalazłem się na brzegu wielkich złożów śnieżnych,  
należących do górnej części lodowca Magenuhe.  
Zdaleka w górze ujrzałem mały, czarny punkcik,  
podobny do chrabąszcza, szamoczący się w środku  
ogromnej, rozwalonej na połowy, kuli śnieżnej.

Przyłożyłem ręce do ust i zmanifestowałem  
własną wersję jodłowania. Mateczka w odpowiedzi  
zamachała ręką.

Zużyłem dwadzieścia minut na dojsście do niej,  
gdyż znając swą słabą stronę, unikałem starannie  
rozpadlin. Kiedym już podszedł blisko, spostrzegłem,  
że twarz mateczki wyraża niepokój.

— Co się stało z przewodnikami? — zapytała.  
— Mają plecaki, muszą więc wrócić inną drogą — odrzekłem. — Jak ci się podobało zejście?  
— Nie bardzo — zauważyła — ale mam nadzieję, że się przyzwyczaję. Którędy teraz pójdziemy?

Zadecydowałem, że trzeba poszukać grobli śnieżnej przez bergschrundę — oto słowo, którego poprzednio zapomniałem — i w ten sposób przejść na skały od wschodniej strony lodowca. Stamtąd bez dalszych przygód zeszliśmy do hotelu...

— — — — —

Nasz powrót wywołał tak silny wybuch zazdrości i niechęci, jakiego nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć. Przedewszystkiem usiłowano nam wmówić, żeśmy wcale nie byli na szczycie, ale mateczka wyniosłym głosikiem położyła kres tej zniewadze. Mielśmy nadto świadectwo przewodników i tragarzy. Kiedy nas o nich zapytano, wyjaśniłem:

— Oni postępują w myśl waszych metod. Mam nadzieję, że będą tu jutro rano.

To oświadczenie zupełnie się nie spodobało.

Żądałem, aby uznano, że pobiłem rekord. Jednakże metody moje zdyskwalifikowano, jako niedozwolone. Nalegałem:

— A jeżeli nawet uważam za stosowne użytkować lawinę dla rychlejszego powrotu, to co wam do tego? Zapewnialiście z początku, że ani ja, ani mateczka, nie potrafimy wejść na szczyt tej djabelskiej góry, a kiedyśmy tego dowiedzieli, wymyślacie tysiąc prawideł, ażeby nas zdyskwalifikować? Może jeszcze zabronicie zjeżdżać po lodzie. Pobiłem rekord! dobrze wiecie, że pobiłem rekord i dlatego właśnie się kwasicie. Faktem jest, że wy, alpiniści, nie macie pojęcia o waszem głupim rzemiośle. Macie tu dobry, szybki sposób schodzenia z gór, sposób, który powinien wam być znany — — —

Mieścieście tysiąc szans przeciw jednej, że się zabijecie.

Nonsens! To jest najlepszy sposób zejścia dla każdego, kto nie ma zakutej głowy. Powinniście się ćwiczyć w spadaniu z wielkich wysokości po śniegu. Nic łatwiejszego i bezpieczniejszego, jeżeli umiejętnie wzięść się do rzeczy.

— Posłuchaj, młodzieńcze — rzekł podstarzały młokos ze szpakowatą bródką — nie zdajesz sobie sprawy, że zarówno ty, jak ta pani, uszliście cało tylko cudem...

— Teorje! — przerwałem. — Zastanawiam się wogóle, poco wy przyjeżdżacie do Szwajcarii. Gdybym był taki, jak wy, wymyśliłbym teoretyczne góry, jako nowy rodzaj gry towarzyskiej, i grałbym w nie na punkty. Ale jesteś już zmęczoną, mateczko. Czas najwyższy, żebyś zjadła trochę gorącej zupy i poszła do łóżka. Nie pozwolę ci wstać przed upływem trzydziestu sześciu godzin.

Swoją drogą, to ciekawe, jak ludzie nie znoszą najmniejszej oryginalności.

## KRYSZTAŁOWE JAJKO

Mniej więcej przed rokiem, znajdował się przy ulicy Seren Dials mały i obskurny sklepik, nad którym widniał zniszczony napis: „C. Care — Naturalista i Antykwaryusz”. Zawartość witryny sklepowej była szczególnie urozmaicona. Leżały tam kły słoniowe i zdekompletowane szachy, paciorki i broń przeróżna, pudełko ze szklanymi oczami, dwie czaszki tygrysie i jedna ludzka, kilka wypchanych małp, nadjedzonych przez mole (jedna z nich trzymała lampę), staroświecka szafka, jajko strusie, popstrzone przez muchy, kilka wędek i niestychanie brudne, puste akwarjum. Leżał tam także, w chwili, gdy się ta historia zaczyna, kawał kryształu, utoczonego w kształcie jajka i gładko wypolerowanego.

Przed witryną sklepową stało właśnie dwóch mężczyzn — długi, chudy ksiądz i młodzieniec o czarnej brodzie, ponurym wyglądzie i zniszczonem ubraniu. Ponury młodzieniec mówił coś, gestykulując gwałtownie, i zdawał się namawiać gorąco swego towarzysza do kupna kryształu.

Kiedy tak stali, mister Care wszedł do sklepu, żując chleb z masłem. Stracił kontenans, zobaczywszy dwóch mężczyzn i przedmiot ich uwagi. Spojrzał podejrzliwie przez ramię i cicho zamknął za

sobą drzwi. Był to mały człowieczek, o bladej twarzy i dziwnych wodnisto-niebieskich oczach; włosy jego były brudno-szare; nosił obszarpany, granatowy tużurek, staroświecki, jedwabny kapelusz i przydeptane, pluszowe pantofle. Przyglądał się bacznie rozmawiającym mężczyznom. Ksiądz sięgnął do kieszeni, zbadał zawartość swego portfela i ukazał zęby w miłym uśmiechu. Mister Care wydawał się bardzo przygnębiony, gdy weszli do sklepu.

○ Ksiądz bez większych ceremonij zapytał o cenę kryształowego jajka. Pan Care zerknął nerwowo w stronę drzwi, prowadzących do jego prywatnej bawialni, i powiedział:— „Pięć funtów”.— Ksiądz zaprotestował przeciwko tej wygórowanej cenie, zwracając się zarówno do pana Care, jak i do swego towarzysza—i rzeczywiście, cena była o wiele wyższa, niż zamierzał ongiś żądać mister Care—poczęli się więc targować. Care podszedł do drzwi sklepowych i otworzył je narozcież.

— Moja cena jest pięć funtów—powtórzył stanowczo, jakby chcąc uniknąć nuzającej i jałowej dyskusji.

Kiedy to mówił, w oszklonej części drzwi, prowadzących do bawialni, ukazała się górna część twarzy kobiecej, zwróconej z ciekawością w stronę klientów.

— Moja cena jest pięć funtów—powtórzył mister Care z drzeniem w głosie.

Smagły młodzieniec przyglądał się surowo panu Care, nie biorąc udziału w dyskusji. Nagle powiedział:

— Daj mu pięć funtów.

Ksiądz spojrzał na niego, chcąc się przekonać, czy mówi poważnie, a kiedy zwrócił znów spojrzenie na pana Care, ujrzał, że twarz kupca biała była, jak płótno.

— To jest kawał grosza—rzekł ksiądz i sięgnawszy do kieszeni, począł obliczać swoje kapitały.

Miał nieco więcej, niż trzydzieści szylingów, więc zwrócił się do swego towarzysza, z którym, jak było widoczne, łączyła go wielka zażyłość. To pozwoliło mister Care zebrać myśli i po chwili wyjaśnić gorączkowo, że ten kryształ, właściwie, nie jest do sprzedania. Dwaj klienci wyrazili, oczywiście, zdumienie, że nie pomyślał o tem przed rozpoczęciem targu. Mister Care zmieszał się i począł się wykręcać, mówiąc, że w ciągu tego popołudnia nie może sprzedać kryształu, gdyż ma się poń zgłosić amator, który oglądał go uprzednio. Dwaj klienci, uważając te słowa za wybieg dla podbicia ceny, udali, że chcą wyjść ze sklepu. Ale w tej cywilii otworzyły się drzwi, prowadzące do bawialni, i ukazała się zebrany właścicielka ciemnych włosów i małych oczu.

Była to zgruba ciosana, korpulentna kobieta, młodsza i o wiele szersza od pana Care; stąpała ciężko, a twarz jej płonęła.

— Ten kryształ jest do sprzedania—powiedziała —a pięć funtów jest ceną dostateczną. Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, Care, że nie chcesz się porozumieć z panami.

Care, bardzo zmieszany tem nagłem pojawieniem się, rzucił żonie gniewne spojrzenie z ponad okularów i niezbyt pewnym tonem zaproponował, aby pozwoliła mu załatwić interesy, jak sam uzna za stosowne. Rozpoczęła się kłótnia. Dwaj klienci przyglądali się tej scenie z ciekawością i pewnem rozbawieniem, podżegając panią Care w chwilach stosownych. Mister Care uparcie obstawał przy swojej mglistej i nieprawdopodobnej historii o uprzednim kliencie, a jego podniecenie stawało się nie-

mal bolesne. Opierał się jednak z niesłabnącą energią. Dopiero młody Azjata położył kres temu szczególnemu zatargowi. zaproponował, że zgłosi się wraz z przyjacielem za dwa dni, ażeby pozostawić jak najwięcej możliwości wspomnianemu poprzednikowi.

— I musimy zaznaczyć—zapowiedział duchowny—że pięć funtów!—ani grosza więcej!

Pani Care poczęła usprawiedliwiać męża, tłumacząc, że jest on „trochę pomyłony”. Kiedy dwaj klienci odeszli, małżeństwo rozpoczęło żartową dyskusję na temat całego zajścia.

Pani Care wsiadła na męża. Biedaczysko, drząc cały ze wzruszenia, płacząc się w swoich historjach, twierdził, z jednej strony, że ma innego klienta na oku, z drugiej zaś—że kryształ wart jest uczciwie dziesięć gwinej.

— Więc dlaczegoż zażądałeś pięciu funtów?—zapytała żona.

— Pozwól mi nareszcie załatwić sprawy po swojemu—odrzekł z gniewem mąż.

Mister Care mieszkał z żoną, pasierbem i pasierbicą. Tegoż wieczora, przy kolacji, poruszono znów sprawę sprzedaży kryształowego jajka. Nikt z rodziny nie miał przesadnego wyobrażenia o zdolnościach handlowych pana Care, ale to, co się dziś zdarzyło, poczytano mu za nieprzebacalne szaleństwo.

— Według mnie, on wogóle nie ma zamiaru sprzedać tego kryształu—powiedział pasierb, osiemnastoletni, długonogi draгал.

— Ale pięć funtów—odrzekła pasierbicia, zasobna w rozsądek osoba, lat dwudziestu sześciu.

Mister Care wamnie się bronił; bąkał tylko słabe zapewnienia, że sam zna się dobrze na swoich interesach. Kazano mu zresztą wkrótce oderwać się



od niedojezionej kolacji i zamknąć sklep na noc; poszedł więc z płonącemi uszami, a łzy rozdrażnienia zamglily mu okulary.

...I pocóż było kłaść kryształ w oknie? Warjat jestem!

Ta myśl prześladowała go nieodparcie. Zdawało mu się, że nie potrafi znaleźć sposobu, aby uniknąć sprzedaży.

Po kolacji pasierb i pasierbica wyszli, docinając sobie wzajemnie, a żona udała się do sypialni, aby porozmyślać nad wartością handlową kryształu, posilając się przytem odrobinką ponczu. Mister Care został w sklepie i zajął się ostentacyjnie układaniem malowniczych skał w akwarjum dla złotych rybek; w rzeczywistości chodziło mu o coś innego, co wyjaśni się w dalszym toku opowiadania. Następnego dnia pani Care spostrzegła, że jajko wyjęto z witryny i że leży ono obecnie poza kilkoma małoważnemi książkami o łowieniu ryb. Wobec tego położyła je znów w miejscu widocznem. Nie udało się jej jednak przeprowadzić obszerniejszej dyskusji na ten temat, gdyż silny ból głowy zniechęcił ją do dalszych rozważań. I Care był również bardzo niezadowolony. Dzień upłynął nieprzyjemnie. Mister Care był bardziej roztargniony, niż zazwyczaj, a przytem niezwykle rozdrażniony. Po południu, kiedy jego żona ucięła zwykłą drzemkę, wyjął znowu jajko z witryny.

Następnego dnia mister Care musiał dostarczyć do jednego z prosektorjów szpitalnych psa morskiego, który potrzebny był do sekcji. W jego nieobecności myśl pani Care skierowała się znowu do kryształowej kuli i do sposobów odstąpienia jej wzmian za upatrzone pięć funtów. Przewidywała już kilka zachwycających sprawunków, między innymi zieloną jedwabną suknię, i przemyśliwała o wy-

cieczce do Richmond, kiedy dzwonek przy drzwiach wejściowych wywołał ją do sklepu. Klientem był asystent z uniwersytetu, który przyszedł z wymówkami za niedostarczenie w określonym terminie pewnych żab do laboratorium. Pani Care ze swej strony nie popierała tej branży męzowskich interesów. Młodzieniec, który mówił z początku podniesionym głosem, stał się grzeczniejszy wkońcu i wycofał się po krótkiej wymianie słów.

Pani Care skierowała, oczywiście, wzrok w stronę okna; widok bowiem kryształu umacniał ją w nadziejach na pięć funtów i na realizację marzeń. Jakież było jej zdumienie, gdy okazało się, że kryształ znikł.

Podeszła do szafy, za którą znalazła go dnia poprzedniego. Tam go nie było; rozpoczęła więc natychmiast skwapliwe poszukiwania po całym sklepie.

Kiedy mister Care powrócił z psem morskim po załatwieniu sprawy, mniej więcej przed drugą po południu, znalazł sklep swój przewrócony do góry nogami, a żonę, zrozpaczoną, na kolanach za ladą sklepową, grzebiącą w utensyljach, służących do wypychania zwierząt. Twarz jej, rozpalona i gniewna, wyłoniła się z za kontuaru, kiedy odgłos dzwonka oznajmił przybycie męża. Natychmiast poczęła go oskarżać, że „zwędził“.

— Co zwędziłem?—zapytał mister Care.

— Kryształ?!

Wtedy mister Care, jakoby ogromnie zdziwiony, rzucił się do okna.

— Niema go tam?! — zawołał — Wielki Boże! gdzież się mógł podziać?!

Właśnie wszedł do sklepu pasierb pana Care i począł kłąć bez litości. Był on praktykantem w pobliskim drugorzędnym składzie mebli, ale stoło-

wał się w domu: rozzłościł się, oczywiście, że obiad nie jest gotów.

Ale kiedy usłyszał, że kryształ zginął, zapomniał o' posiłku i gniew jego przeniósł się z matki na ojczyzna. Pierwszą jego myślą było, oczywiście, że ten ściągnął jajko cichaczem. Ale mister Care energicznie zaprzeczył, jakoby cośkolwiek widział w tym względzie; zarzekał się i przysięgał, a wreszcie posunął się do oskarżenia żony, a potem pasierba, że przywłaszczyli sobie kryształ, chcąc go sprzedaż na własną rękę. Rozpoczęła się szczególnie zgryźliwa i burzliwa awantura; w rezultacie pani Care dostała ataku histerycznego z wściekłości, a pasierb spóźnił się o pół godziny do swego składu mebli. Mister Care znalazł w sklepie ucieczkę przed nadmiernymi emocjami swojej żony.

Wieczorem pod przewodnictwem pasierbicy rozważyło się rzecz całą z mniejszą złością i w duchu krytycznym. Kolacja przeszła w naprężeniu i zakończyła się przykrą sceną. Mister Care wpadł w ostateczne zniecierpliwienie i wyszedł, trzaskając gwałtownie drzwiami. Pozostali wypowiedzieli swoje zdanie o głowie rodziny ze swobodą, której sprzyjała jego nieobecność, a potem przetrząsnęli dom od piwnic do strychu, spodziewając się wyjaśnić tajemnicze zniknięcie kryształu.

Następnego dnia zgłosili się dwaj klienci. Powitała ich pani Care we łzach. Zionął z niej żal. W niepowiązanych słowach mówiła, że nie można sobie wyobrazić, co wszystko musiała znosić od Care'a w ciągu różnych etapów ich małżeńskiej pielgrzymki. Zdała przytem dokładnie sprawę z niepojętego zniknięcia przedmiotu. Duchowny i Azjata uśmiechnęli się milcząco do siebie i uznali, że wszystko to jest bardzo niezwykle. Skierowali się do wyjścia, kiedy pani Care okazała gotowość opo-

wiedzenia im w całości historii swego życia. Pani Care, nie tracąc nadziei, zapytała duchownego o adres, ażeby, jeżeli uda się jej wydobyć co z męża, mogła natychmiast o tem zawiadomić klientów. Podano jej dokładny adres, ale najwidoczniej gdzieś się potem zarzucił. Pani Care zaś nie mogła go sobie przypomnieć.

Wieczorem tegoż dnia rodzina Care'ów wyczerpała zasób swoich emocyj i mister Care, który był poza domem całe popołudnie, jadł kolację w ponurem odosobnieniu, kontrastującym żywo z namiętными kłótniami dnia poprzedniego. Przez pewien czas stosunki były mocno naprężone w domu Care'ów; ale ani kryształ, ani klienci więcej się nie pojawili.

A teraz musimy powiedzieć z całą otwartością, że mister Care kłamał. Wiedział doskonale, gdzie znajdował się kryształ. Był on mianowicie w mieszkaniu Jakóba Wace, asystenta-demonstratora przy szpitalu S-tej Katarzyny, przy ulicy Westburne. Leżał tam w kredensie, owinięty w czarny welwet, koło flaszki amerykańskiej whisky. Właśnie od pana Wace wywodzą się szczegóły, na których osnute jest niniejsze opowiadanie. Care schował jajko do pudła, w którym spoczywał pies morski, przyniósł do szpitala i poprosił młodego uczonego o przechowanie kryształu. Mister Wace był z początku nastrojony nieco podejrzliwie. Jego stosunki z Care'em były szczególnej natury. Uczony miał specjalne zamiłowanie do dziwaków, więc też kilkakrotnie zapraszał do siebie starego naturalistę na fajkę i kieliszek. Przysłuchiwał się jego zabawnym poglądom na życie wogóle, a na własną żonę w szczególności. Mister Wace widywał czasami panią Care, gdy nie zastawał jej męża w domu. Wiedział, że biedny Care podlegał nieustannej kontroli i roz-

ważywszy rzecz gruntownie, postanowił dać schronienie kryształowi. Mister Care obiecał później wytłumaczyć asystentowi powody swego niezwykłego przywiązania do tego przedmiotu, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że dzięki temu, miewa wizje. Opowiedział wszystko badaczowi tegoż samego wieczora.

Była to skomplikowana historia. Antykwaryusz nabył kryształ wraz z mnóstwem drobiazków na licytacji u innego handlarza starożytności, a nie zdając sobie sprawy z wartości przedmiotu, oznaczył jego cenę na dziesięć szylingów. Przez kilka miesięcy nie udało mu się go sprzedać nikomu, więc chciał już obniżyć cenę, gdy nagle uczynił szczególne odkrycie.

W tym czasie zdrowie jego bardzo szwankowało — zdawał sobie sprawę, na mocy długoletniego doświadczenia, że coraz bardziej podupadał fizycznie. Żona i pasierbowie maltretowali go i zaniedbywali, co wprawiało biedaka w prawdziwą rozpacz. Pani Care była próżna, narwana, nieczuła i miała rosnącą wciąż skłonność do napojów wysokokowych; pasierbica — pospolita i pełna fumów; pasierb zaś powziął dla ojczyma gwałtowną nienawiść i nie omijał sposobności, aby mu ją okazać. Wszystkie ciężary prowadzenia sklepu spoczywały tylko na nim i mister Wace przypuszczał, że biedny Care nie był wolny od przejściowych napadów niewstrzeżności. Nic dziwnego: był to człowiek z zamożnego środowiska, otrzymał wykształcenie; cierpiał zaś całymi tygodniami na melancholję i bezsenność. Nie chcąc przeszkadzać rodzinie, próbował zasnąć spokojnie przy boku żony, ale kiedy napastujące go myśli stawały się nie do zniesienia, uciekał z domu. I pewnej nocy, w końcu sierpnia, o trzeciej nad ranem, szczęśliwy przypadek pognął go do sklepu.

W ciasnej i brudnej izbie panowały nieprzeniknione ciemności, z wyjątkiem jednego tylko miejsca, gdzie żarzyło się jakieś dziwne światło. Podszedłszy bliżej, mister Care przekonał się, że jest to kryształowe jajko, leżące w rogu lady sklepowej, blisko okna. Wąski promień światła sączył się przez szparę w okiennicy, padał na kulę i zdawało się, wypełniał całe jego wnętrze.

Panu Care przyszło na myśl, że zjawisko to nie było w zgodzie z prawami optyki, których się niegdyś, za młodych lat, uczył w szkole. Wiedział, że promień może się załamać w kryształe i skoncentrować w jego ognisku, ale ta rozlewność światła klóciła się jaskrawo z jego pojęciami fizykalnymi. Podszedł więc blisko, zajrzał do wnętrza jajka w chwilowym napływie ciekawości naukowej, która ongiś pokierowała nim w wyborze zawodu. Zdumiał się, zobaczywszy, że światło to nie było stałe; drgało i wirowało wewnątrz jajka, jakby to była pusta kula, napelniona jakąś fosforyzującą parą. Zaskoczony tem zjawiskiem, usunął jajko ze sfery świetlnej i zaniósł do najciemniejszego kąta sklepu. Błyszczało tam jeszcze przez jakie cztery, pięć minut, potem zamroczyło się powoli i zgasło. Kiedy umieścił je w wąskiej smudze promienia, poczęło natychmiast świecić znowu.

Dotychczas mister Wace mógł sprawdzić niesłychaną historję mister Care'a. Sam kładł wielokrotnie kryształ w promieniu światła (o średnicy, nie przekraczającej jednego milimetra). I w zupełnej ciemności, na podłożu z czarnego welwetu, kryształ niewątpliwie słabo fosforyzował. Blask jego posiadał szczególne własności i niejednakowo był widoczny dla wszystkich oczu: mister Harbinger, na przykład, którego imię jest znane czytelnikom pism naukowych, w związku z Instytutem Pasteura, nie był

zdolny ujrzeć zgoła żadnego światła. Możliwości pana Wace w tym kierunku były mniejsze, niż antykwariusza. Zresztą, zdolność widzenia mister Care'a wahała się w szerokich granicach: wizja jego była tem żywszą i wyraźniejszą, im więcej cierpiał na zmęczenie i bezsenność.

Od początku światło kryształu wywierało na mister Care'a szczególny urok. To, że nie opowiedział dotychczas żadnej ludzkiej istocie o swoich niezwykłych obserwacjach, świadczyło wymowniej o samotnictwie jego duszy, niż cały tom patetycznej pisaniny. Żył dotychczas w atmosferze tak drobiazgowych prześladowań, że gdyby ktokolwiek dowiedział się o tej jego radości, niechybnieby mu ją odjęto. Starzec zauważył, że kiedy nadchodził świt albo zwiększało się światło w pokoju, kryształ odrazu tracił swoje właściwości świetlne. I przez czas dłuższy nie był on zdolny niczego w nim dorzeć, chyba w nocy, w ciemnym kącie sklepu.

Przyszło mu na myśl kiedyś, aby zużytkować czarny welwet, na którym umieszczał kolekcję minerałów; złożywszy go i zarzuciwszy na głowę i ręce, mógł widzieć ruch świetlny wewnątrz jaja, nawet w dzień. Przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, aby go żona nie przyłapała, i oddawał się swoim obserwacjom tylko po południu, kiedy pani Care spała na górze, a i to czynił skrycie, we wnętrzu, pod kontuarem. Pewnego dnia, kręcąc jajko w rękę, dojrzał coś. Mignęło to, jak błyskawica, ale pozostawiło mu wrażenie, jakby otwarił się przed nim widok na kraj odległy, wielki i dziwny; obracając kryształ w dalszym ciągu, właśnie, kiedy światło zaczęło już przygasać, ujrzał nagle to samo.

Zbyteczne i zbędne będzie podawać wszystkie etapy odkrycia pana Care. Wystarczy tyle: kryształ, nachylony pod kątem  $137^{\circ}$  do promienia świe-

tlnego, ukazywał jasny i trwały obraz oddalonego i osobliwego kraju. Nie miało to nic wspólnego z marzeniem sennem: obraz sprawiał wrażenie całkowitej rzeczywistości, a im lepsze było oświetlenie, tem stawał się on rzeczystszy i trwalszy. Był to wizerunek ruchowy, to znaczy— pewne przedmioty poruszały się w nim powoli i w określony sposób, jak przedmioty normalne, a zależnie od zmiany kierunku światła i pola widzenia, zmieniał się też i obraz. Było to, jakby kto patrzył przez owalną szybę na jakiś widok, zmieniając zaś położenie szyby, można było krajobraz oglądać z różnych stron.

Relacje pana Care, jak mnie zapewniał asystent Wace, były bardzo szczegółowe i całkowicie pozbawione zabarwienia emocjonalnego, jakie charakteryzuje zazwyczaj halucynacje. Musimy jednak zaznaczyć, że wszelkie usiłowania pana Wace, aby dorzeć coś podobnego w opalizującym wnętrzu kryształu—spełzały na niczem. Wrażenia obu mężczyzn różniły się wielce pod względem intensywności i możnaby twierdzić, że to, co było wyraźnym obrazem dla Care'a, przedstawiało się panu Wace w formie mglistych plam.

Krajobraz, który widział mister Care, był zawsze rozległą równiną i zdawało się starcowi, że ogląda ją ze znacznej wysokości, jakby z wieży czy z masztu. Na wschodzie i na zachodzie, w znacznej odległości, ograniczały dolinę czerwonawe skały, przypominające antykwaryjuszowi jakieś dawno widziane obrazy, ale jakie mianowicie — nie mógł pan Wace stwierdzić. Góry owe ciągnęły się z południa na północ — mógł nawet określić ich kierunek według gwiazd, które były tam widoczne w nocy, — ginąc w nieograniczonej perspektywie, niknąc we mgle oddalenia. Mister Care patrzył na ten krajobraz



z punktu bliższego wschodniemu zboczcu gór; podczas pierwszej wizji słońce świeciło wysoko i ujrzał nagle bujające w powietrzu postaci, czarne na tle słońca, blade zaś w cieniu. Mister Care wziął je za ptaki. Długi rząd budynków ciągnął się daleko; patrzył na nie z góry i im bliżej były mętnej i mglistej krawędzi obrazu, tem wydawały się bardziej niewyraźne. Widać też było drzewa dziwnego kształtu i barwy; ciemną, mżystą zieleń i przedudną szarość.

Rosły one wzdłuż dalekiego, połyskującego kanału czy rzeki. Coś, co było wielkie i ubarwione wspaniale, przeleciało poprzez obraz. Z początku mister Care miewał wizje jedynie chwilami, błyskami; ręce jego drżały, głowa poruszała się z łapczywą chciwością, obraz pojawiał się i znikał, mglisty, niewyraźny. Niezmiernie było trudno z początku odnaleźć widok, gdy straciło się właściwy kierunek.

Następną jasną wizję udało się otrzymać w tydzień po pierwszej; przerwa nie przyniosła nic nowego, prócz nużących przebłysków i pożytecznego doświadczenia. Wizja ta ukazała dolinę.

Obraz różnił się od poprzedniego, ale mister Care miał szczególne przeświadczenie, które w zupełności potwierdziły następne obserwacje, że patrzy na dziwny świat z tego samego miejsca, tylko w innym kierunku. W dalszej perspektywie ujrzał fasadę wielkiego budynku, którego dach poprzednio oglądał. Poznał zresztą wkrótce i dach.

Fasada domu była ozdobiona tarasem wielkich rozmiarów i niezwyklej długości; na środku tarasu wznosił się ogromny, ale smukły maszt, na którym błyszczały jakieś drobne przedmioty, odbijające promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Znaczenie tych przedmiocików wyjaśniło się dopiero później, gdy Care opisał całą scenę panu Wace.

Taras otaczała gęstwa przebogatej i wspaniałej roślinności, a dalej zieleniała rozległa łąka, na której spoczywały niezdarne jakieś stworzenia, podobne do chrząszczy, ale o wiele większe. Jeszcze dalej biegł ozdobny gościniec, wykładany różowym kamieniem, a z drugiej strony, zarośnięta czerwonymi szuwarami, równoległe do dalekich gór, płynęła rzeka. W powietrzu bujały stada ptaków, zataczając wspaniałe łuki, a wzdłuż rzeki wznosił się szereg okazałych budynków, połyskujących metalicznymi płaskorzeźbami i ozdobami; otaczał je las drzew, podobnych do mchów i porostów. Nagle coś zatrzępotało się kilkakrotnie w polu widzenia, jak drogocenny wachlarz albo rozkołysane skrzydło, i twarz albo raczej górna część twarzy z wielkimi oczyma pojawiła się jakby z drugiej strony kryształu. Mister Care wzdrygnął się i tak był poruszony absolutną realnością tych oczu, że przechylił głowę, aby zajrzeć poza kryształ. Tak pochłonęło go badanie, że z największym zdziwieniem zdał sobie sprawę, iż znajduje się w zimnym, mrocznym sklepie, pełnym znanego zapachu metylu, zgnilizny i pleśni. Kiedy spojrzął znów, promienny kryształ zbladł i zagaśł.

Takie były pierwsze najogólniejsze wrażenia pana Care.

Jego opowiadanie jest proste i szczegółowe. Od chwili, kiedy widok na dolinę rozbłysł przed jego zdumionym wzrokiem, wyobraźnia starca była silnie pobudzona, a kiedy począł rozpoznawać szczegóły wizji, zachwyty jego wzrósł do granic namiętności. Załatwiał sprawy całodzienne z roztargnieniem, nieprzytomnie; myślał bowiem tylko o chwili, kiedy będzie mógł powrócić do swoich badań. W parę tygodni po pierwszym ujrzeniu tajemniczego świata, pojawili się dwaj klienci, którzy naleganiem

swem wywołali ową burzę w domu; w rezultacie czego kryształ znikł, jakim to już raz opowiadał.

Własna tajemnica zachwycała pana Care coraz bardziej; było to coś, do czego należało skradać się i podglądać, jak dziecko podgląda przez sztachety niedostępnego ogrodu. Ale mister Wace, jako młody uczony, posiadał umysł, przenikliwy i logiczny. Kiedy zobaczył jajko i usłyszał jego historję, mogąc się naocznie przekonać na zasadzie fosforescencji kryształu, że relacja pana Care posiada pewne podstawy—postanowił zbadać rzecz całą systematycznie. Mister Care był nazbyt niecierpliwy, nazbyt łaknący czarodziejskich widoków, które ukazywały się jego oczom; przychodził więc co wieczór i prześiadywał od wpół do jedenastej do wpół do dwunastej. Czasem, gdy pana Wace nie było w domu, zjawiał się też w ciągu dnia oraz w niedzielę po południu. Ze swej strony pan Wace poczynił liczne notatki i dzięki jego znajomości metod naukowych, dało się ustalić zależność położenia obrazu od kierunku promienia świetlnego. Chowając kryształ do pudełka z prześwidrowanym otworem i zastępując skórzaną pokrywkę czarnem płótnem, polepszył również warunki widzenia do tego stopnia, że udawało się obserwować dolinę we wszystkich kierunkach równocześnie.

Po tych wyjaśnieniach możemy dać krótki opis wizyjnego świata z poza kryształu. Wszystko, co tu powiemy, widział pan Care na własne oczy. Zwykłą metodą jego pracy było patrzenie w kryształ i zdawanie natychmiastowe sprawy z tego, co widzi, podczas gdy mister Wace, który, jako prawdziwy eksperymentator, znał sztukę pisania w ciemnościach, notował skwapliwie jego słowa. Kiedy kryształ gaśł, kładło go się we właściwej pozycji do pudełka i zapalało elektryczność. Mister Wace

zadawał wtedy pytania i pytał szczegółowo o sposirzeżeniach, chcąc wyjaśnić pewne ciemne punkty. Istotnie, trudno sobie wyobrazić eksperyment mniej wizjonerski i bardziej rzeczowy.

Uwaga pana Care skierowała się przedewszystkiem w stronę dziwnych, podobnych do ptaków, stworzeń, które w tak wielkiej ilości widział uprzednio. Skorygował wkrótce swoje pierwsze wrażenia i osądził, że musi to być dzienna odmiana nietoperzy. A potem twierdził dość zabawnie, że to są chyba anioły. Głowy ich były okrągłe i podobne bardzo do ludzkich. Oczy jednego z nich uderzyły go szczególnie podczas drugiej wizji. Miały te stworzenia wielkie, srebrzyste skrzydła, pokryte nie piórami, ale czemś nakształt łuski, błyszczącej żywo, jak u świeżo śniętej ryby, o podobnie subtelnej grze kolorów.

Konstrukcja tych skrzydeł nie przypominała skrzydeł ptasich czy nietoperzych; były one rozpięte na łukowatych żebrach, wychodzących promieniście z ciała. Raczej skrzydła motyle przypominało owo żebrowanie. Ciało tych stworzeń było drobne, zaopatrzone w dwa chwytne organy, jakby w grona macek, wyrastających poniżej ust. Trudno było uwierzyć, ale wszystko świadczyło, że to właśnie owe stworzenia wzniosły wielkie, podobne do ludzkich siedzib, budynki.

Domy te wyróżniały się, oprócz innych szczególnych cech, tem, że pozbawione były drzwi i posiadały tylko wielkie, okrągłe okna, otwierające się z łatwością. Przez nie to wchodziły i wychodziły owe stworzenia. Zawisały na swoich mackach, związały skrzydła, które stawały się podobne do pręta, i wskakiwały do środka. Żyły jeszcze w owym świecie tłumy istot o mniejszych skrzydłach, podobnych do ważek i chrząszczy, a po trawnikach łążyły tu

i tam olbrzymie, kolorowe żuki. Więcej jeszcze: na gościńcach i tarasach widać było wielkogłowe stworzenia, podobne do much, ale bez skrzydeł, skaczące pracowicie na owych mackach.

Następnie zaciekawili badaczy błyszczące przedmioty, przymocowane do masztów, wznoszących się z tarasu najbliższego budynku. Przyglądając się bacznie jednemu z masztów, pewnego, szczególnie jasnego dnia, zrozumiał pan Care, że błyszczące przedmioty—to kryształy, zupełnie takie same, jak ten, w który patrzył. Rozpatrzywszy je dokładnie, przekonał się, że masztów było około dwudziestu, a na każdym tkwił kryształ.

Zdarzyło się, że jedno z większych latających stworzeń zatrzepotało się nad jednym z nich; złożyło skrzydła i przyczepiwszy się mackami do masztu, jęło patrzeć w kryształ uważnie przez jakie piętnaście minut. Cała serja obserwacji pod kierunkiem pana Wace upewniła obydwóch badaczy, że ten kryształ, w który patrzyli, znajdował się też i w owym wizyjnym świecie, umocowany na szczycie ostatniego masztu, i że pewnego razu jeden z mieszkańców tamtego świata spojrział w twarz panu Care, który w owej chwili patrzył również w kryształ.

Tyle o najważniejszych faktach tej niezwykłej historii. Jeżeli nie uznamy wszystkiego za dowcipny pomysł pana Wace, musimy dopuścić dwie hipotezy: albo kryształ pana Care znajdował się naraz w dwóch rzeczywistościach i kiedy go się poruszało w jednej, zostawał, mimo to, nieruchomy w drugiej, co się wydaje absurdem; albo też, że kryształ ten pozostawał w jakimś szczególnym związku sympatycznym z analogicznym kryształem innego świata w ten sposób, że co widział w jego wnętrzu jeden z obserwatorów ziemi, było na podobnych za-

sadach widoczne w kryształach z tamtego świata i vice versa.

Jak dotychczas, trudno sobie zdać sprawę, w jaki sposób oba kryształy mogły wejść ze sobą w związek, znaleźć się en rapport, ale ostatecznie możemy zrozumieć, że nie jest to rzecz niemożliwa. Pogląd, że kryształy znajdują się z sobą en rapport, był hipotezą pana Wace, a i mnie wydał się zupełnie prawdopodobny.

Ale cóż to był za świat? I pod tym względem bystra inteligencja pana Wace przelała na zagadnienie nieco światła. Po zachodzie słońca niebo w tamtym świecie ściemniało się szybko — noc, zresztą, panowała niezmiernie krótko — i pokrywało się gwiazdami. Mister Care rozpoznał Wielką Niedźwiedzicę, Plejadę, Aldebarana i Syrjusza: to świadczyło, że tamten świat musiał się jednak znajdować w systemie słonecznym i to najwyżej w odległości kilkuset milionów mil od globu ziemskiego. Dążąc po nitce do kłębka, pan Wace przekonał się, że niebo w owym kraju ciemniejsze było, niż u nas, a słońce wydawało się nieco mniejsze. W świecie owym błyszczały *dwa* małe księżycy, podobne do naszego, tylko mniejsze i obdarzone nieco innymi właściwościami: jeden z nich poruszał się tak szybko, że ruch jego dawał się z łatwością zauważyć. Księżycy owe nie znajdowały się nigdy wysoko na niebie, bladły, podnosząc się w górę, a to dlatego, że kręcąc się nieustannie, były zbyt blisko swojej rodzimej planety.

Wszystko to odpowiadało całkowicie — choć sam mister Care nie zdawał sobie z tego sprawy — stanowi rzeczy na Marsie.

Istotnie, wydawało się więcej niż prawdopodobnem, że zaglądając do kryształu, mister Care widział planetę Marsa i jej mieszkańców. I jeżeli rzeczywi-

ście tak się rzecz miała, to owa gwiazda wieczorna, lśniaca promiennie na niebie tamtego tajemniczego świata, była niczem innym, jak tylko naszą Ziemią.

Przez pewien czas Marsjanie — gdyż to byli Marsjanie — nie zdawali sobie sprawy z inspekcji pana Care. Kilkakrotnie któryś z nich zaglądał do kryształu, ale natychmiast odlatywał pośpiesznie do innego masztu, jakgdyby znajdował, że wizja jest niezadawalniająca. Mr. Care mógł obserwować obyczaje tego skrzydlatego ludu, a relacja jego, choć z natury rzeczy fragmentaryczna i niedokładna, jest niemniej bardzo ciekawa. Wyobraźcie sobie pojęcie, jakie będzie miał o ludzkości Marsjanin, obserwujący po dłuższym okresie przygotowawczym i z wielkim wysiłkiem wzroku — Londyn z dzwonnicy kościoła Św. Marcina i to jednym ciągiem, najwyżej przez cztery minuty. Mister Care nie potrafił określić, czy Marsjanie skrzydlaci i ci, którzy skakali po drogach i tarasach, mogli w sposobnej chwili rozwinąć skrzydła i latać. Od czasu do czasu widywał on pewne niezdarne dwunogie stworzenia, przypominające małpy, białe i częściowo przezroczyste; pasły się pomiędzy drzewami, przypominającymi porosty, i uciekały, dostrzegłszy któregoś ze skaczących kragłogłowych Marsjan. Jeden z nich pochwycił któregoś ze stworzeń dwunogich swemi mackami, gdy wtem obraz się zamglił i mister Care napróżno wyteżał wzrok w ciemnościach. Innym razem, jakiś wielki przedmiot, który się wydał panu Care ogromnym owadem, pojawił się na jednym z gościńców, posuwając się wzdłuż kanału z ogromną szybkością. Kiedy się przybliżył, mister Care rozpoznał, że była to maszyna z błyszczącego metalu, o niezwykle skomplikowanej konstrukcji. Po chwili znikła mu z oczu.

Po pewnym czasie pan Wace postanowił zwrócić uwagę Marsjan i kiedy znów pojawiły się w kryształe dziwne oczy jednego z nich, pan Care krzyknął, podskoczył. Pochylił natychmiast kryształ w stronę światła i poczęli gestykulować w sposób porozumiewawczy. Ale kiedy mister Care znów zairzał do kryształu—Marsjanin już odleciał.

Wszystkie te obserwacje poczyniono w październiku, a później Care, czując, że podejrzenia rodziny, dotyczące kryształu, osłabły, począł nosić jego stale przy sobie, ażeby o każdej porze dnia i nocy nasycać się widokiem, który stał się najprawdziwszą i jedynie realną częścią jego życia.

W listopadzie, w związku ze zbliżającymi się egzaminami, praca pana Wace znacznie się wzmogła, trzeba było—acz z niechęcią—zawiesić seanse na jakiś tydzień i w rezultacie, w ciągu dziesięciu czy jedenastu dni—nie przypominał sobie tego dokładnie—nie miał on pojęcia, co się dzieje z panem Care. Zatrószył się wreszcie, że trzeba będzie opracować dotychczasowe badania, więc kiedy zwalił z głowy najważniejszą robotę, udał się, czem prędzej, na ulicę Leren Dials. Na rogu, w sklepach szewca i handlarza ptaków spuszczone żaluzje. Sklep zaś pana Care był zamknięty.

Zastukał. Drzwi otworzył pasierb w czarnym ubraniu. Zawołał on pania Care, która nadeszła w taniej, ale sutej sukni żałobnej, bardzo majestatycznego kroju. Bez wielkiego zdziwienia dowiedział się pan Wace, że Care zmarł i już jest po pogrzebie. Pani Care była we łzach i łkanie miała w głosie. Właśnie wracała z cmentarza. Umysł jej był najwidoczniej zajęty widokami na przyszłość i szczegółami ceremonjału pogrzebowego, ale mister Wace chciał się dowiedzieć czegoś dokładniejszego o śmierci Care'a. Znalezione go martwego w skle-



pie pewnego wczesnego ranka, nazajutrz po ostatniej wizycie u pana Wace; w zaciśniętej ręce trzymał mocno kryształ.

— Twarz miał uśmiechniętą — opowiadała pani Care — a czarny welwet leżał u jego stóp, na podłodze. Nie żył już, zapewne, od jakich pięciu, sześciu godzin.

Wszystko to bardzo poruszyło Wace'a, który począł sobie gorzko wyrzucać, że nie zwrócił dostatecznej uwagi na symptomy choroby swego starego przyjaciela. Jednakże pierwszą jego myślą był kryształ. Poruszył tę sprawę w sposób zamaskowany i delikatny, gdyż znał chciwość pani Care. Przygłębiła go ogromnie wiadomość, że kryształ został sprzedany.

Pierwszym impulsem pani Care, kiedy wniesiono ciało jej męża na górę, było napisanie do owego duchownego, który ongiś zaofiarował pięć funtów za kryształ; ale mimo gwałtownych poszukiwań, w których brała udział też i córka, okazało się, że adres gdzieś zginął. Ponieważ rodzina nie miała środków na pogrzeb Care'a według uświęconego tradycją ulicy Leren Dials ceremonjału, zwróciły się więc do pewnego zaprzyjaźnionego handlowca z ulicy Great Portland. Ten, oceniwszy z całą uprzejmością część towarów ze sklepu, wziął je do siebie w komis; zabrał między innymi i kryształowe jajko. Pan Wace, wypowiedziawszy kilka okolicznościowych słów pociechy, może nieco niedbale, popędził bezzwłocznie na ulicę Great Portland. Ale tam się dowiedział, że kryształ już sprzedano jakiemuś wysokiemu, czarniawemu panu w szarem ubraniu. I na tem się kończą fakty, dotyczące tej dziwnej, a według mnie, niezmiernie interesującej historii. Kupiec z ulicy Great Portland nie wiedział, kim był wysoki pan w szarem ubraniu, ani też nie

przyjrzał mu się dostatecznie, aby móc opisać dokładnie jego powierzchowność. Nie umiał też powiedzieć, w którą stronę udał się ów klient, wyszedłszy ze sklepu. I rzez dłuższy czas wystawiał pan Wace cierpliwość kupca na próbę, zamęczając go pytaniami, nie posiadając się z rozpaczy i złości. Wreszcie, zrozumiawszy, że cała rzecz wymknęła mu się z rąk, rozwiła się, jak sen, powrócił do siebie i zdziwił się nieco, gdy ujrzał własne notatki na biurku, tak widoczne, tak do-tykalne.

Nie trzeba opisywać, jak wielka była jego roz-  
pacz i rozczarowanie. Zwrócił się po raz drugi—rów-  
nie bezowocnie—do handlarza z Great Portland  
i umieścił parę ogłoszeń w gazetach, na wypadek,  
gdyby kryształ dostał się w ręce kogoś z kup-  
ców starzyzna. Napisał też kilka artykułów do  
„Daily Chronicle” i „Nature”, ale obydwa pisma, po-  
dejrzewając oszustwo, poradziły mu conąć się  
przed wydrukowaniem, a i on sam zrozumiał, że  
tak dziwaczna historia, która na nieszczęście nie  
mogła być sprawdzoną, może zaszkodzić jego re-  
putacji, jako uczonego. Po za tem, musiał powrócić  
do swoich własnych, przerwanych prac. Tak, że po  
jakim miesiącu, wyjąwszy przypadkowe wizyty  
u różnych antykwaryjuszy, musiał, acz niechętnie,  
zaniechać poszukiwań kryształowego jajka. Do-  
tychczas nikomu nie udało się go odnaleźć. Cza-  
sami tylko, jak mi opowiadał mister Wace—a ja  
mu wierzę—w okresach nawrotów dawnego zapalu,  
porzucał najbardziej pilne zajęcia i usiłował pro-  
wadzić dalsze badania.

Czy uda się kiedykolwiek odszukać jajko i zba-  
dać jego strukturę i pochodzenie? To pytanie jest  
narazie bezprzedmiotowe. Jeżeli obecny nabywca  
jest kolekcjonerem, możnaby się spodziewać, że

echa poszukiwania pana Wace wśród kupców dojdą do niego. Panu Wace udało się odszukać klientów pana Care: duchownego i Azjatę. Nie był to nikt inny, tylko pastor James Parker i młody książę Bossotkuni z Jawy. Zawdzięczam im pewne szczegóły. Motywem działania księcia była zwykła ciekawość i zachcianka. Zapalił się tak bardzo do kupna właśnie dlatego, że Care wykręcał się od sprzedarzy. Jest bardzo możliwe, że następny klient był zwykłym, przypadkowym zbieraczem, a nie prawdziwym kolekcjonerem, i że kryształowe jajko znajduje się w tej chwili mniej niż o milę ode mnie i ozdabia jakiś salon albo służy za przycisk, a jego niezwykle własności pozostają nieznane. I muszę się przyznać, że głównie w przewidywaniu takiej możliwości nadałem temu zdarzeniu formę opowiadania, które udostępni je szerszym sferom zwykłych poszukiwaczy fikcyj.

Mój własny pogląd na tę sprawę zgadza się całkowicie z przekonaniem pana Wace. Jestem pewien, że kryształ z Marsa, umocowany na maszcie, i jajko kryształowe pana Care pozostawały w jakimś fizycznym, choć obecnie niewytłumaczalnym związku (en rapport); wierzymy też obaj, że ziemski kryształ musiał być zesłany na ziemię z owej planety—być może w odległych jeszcze czasach—ażeby informować Marsjan o naszym życiu. Możliwe, że odpowiedniki kryształów z innych masztów znajdują się na naszym globie. Wszelkie teorie o halucynacjach muszą zblednąć wobec faktów.

## ELIKSIR PRZYŚPIESZAJĄCY

Nowy Acelerator

Niewątpliwie, jeżeli komu zdarzyło się znaleźć gwineę, kiedy szukał szpilki — to właśnie memu przyjacielowi, profesorowi Gibberne. Zdarzyło mi się już nieraz słyszeć o doświadczeniach, których rezultat przekraczał wszelkie oczekiwania, ale nigdy jeszcze nie słyszałem o fakcie podobnym. Przyjaciel mój dokonał odkrycia, które — bez najmniejszej przesady — zrewolucjonizuje zupełnie życie ludzkie. I to wtedy, kiedy szukał poprostu środka podniecającego dla nerwów, któryby wzmacniał energję osób, wyczerpanych przyspieszonym tempem współczesnego życia. Próbowałem kilkakrotnie nowego eliksiru i najlepiej uczynię, opisując jego działanie na mojej własnej osobie. Okazuje się wówczas w wystarczającej mierze, że kryją się w nim zdumiewające możliwości dla osób, żadnych nowych wrażeń.

Profesor Gibberne, jak wiadomo, jest moim sąsiadem w Folkestone. Jeżeli się nie mylę, „The Strand Magazine” zamieścił w końcu 1899 roku fotografię, przedstawiającą profesora w różnym wieku, nie mogę jednak tego sprawdzić, gdyż pożyłem rocznik jakiegoś znajomemu, który mi go,

oczywiście, nie oddał. Czytelnik przypomina sobie zapewne wysokie czoło, niezwykle długie, czarne brwi, nadające twarzy Gibberne'a iście mefistofelski wygląd. Zajmuje on jeden z tych miłych domków w stylu "mieszanym", które czynią tak interesującą wschodnią część drogi Upper Landgate. Dom jego, ozdobiony flamandskimi gołębiami, posiada maurytański portyk. Profesor pracuje zwykle w małym pokoju z wnęką i weneckim oknem, gdzieśmy tak często wieczorami palili i rozmawiali. Lubi on bardzo dowcipy i żarty, zarówno, jak i poważną rozmowę o swojej pracy; jest to jeden z tych ludzi, dla których dyskusja jest pomocą i bodźcem i dlatego też mogłem śledzić za rozwojem koncepcji Aceleratora od najwcześniejszych stadiów. Niewątpliwie, największej części eksperymentów dokonał Gibberne nie w Folkestone, lecz przy ulicy Gower, w świetnym, należącym do szpitala laboratorium, z którego on pierwszy zaczął korzystać.

Jest to powszechnie wiadome, przynajmniej wśród ludzi inteligentnych, że Gibberne wyróżniał się i zdobył sławę naukową, dzięki swym pracom, badającym oddziaływanie pewnych lekarstw na system nerwowy. Nie posiada on rywali w stosowaniu środków nasennych, znieczulających i uspokajających. Jest też bardzo wybitnym chemikiem i przypuszczam, że w nieprzeżytym gąszczu tajemnic, zgrupowanych dookoła działalności komórek gruczołowych i rozgałęzieniu rdzenia pacierzowego, właśnie Gibberne wyrąbał przejście i przelał w nie światło, które aż do chwili opublikowania jego prac nie było dostępne nikomu z żyjących. W ostatnich latach profesor zajął się z niezwykłym zapałem zagadnieniem podnieć nerwowych, tak, że jeszcze przed odkryciem Aceleratora uzyskał bardzo ciekawe rezultaty. Wiedza lekarska zawdzięcza mu,

co najmniej, trzy środki wzmacniające, niezwykle skuteczne. W wypadkach wyczerpania organizmu, preparat, zwany „Syropem B Gibberna“, uratował więcej egzystencji ludzkich, niż łódź ratunkowa na pobrzeżu morskiem.

— Żaden z tych drobiazgów nie zaspokaja mnie jednak — powiedział mi przed rokiem. — Ich działanie jest dwojakie: albo wzmagają energję ośrodków, nie zatracając nerwów, albo poprostu powiększają ilość niezbędnej energji, zmniejszając przewodnictwo nerwowe; działanie ich jest czysto lokalne i niezrównoważone. Jeden z tych środków pobudza serce i wnętrzności, ale oglupia mózg, inny — podnieca mózg, nakształ szampana, ale działa nieszczególnie na plexus solaris. Ja tymczasem, chciałbym wynaleźć — jeżeli jest jakakolwiek możliwość — bodziec, podniecający ogólnie, który wstrząśnie panem od głowy do końca wielkiego palca u nogi i wzmoże pańską aktywność organiczną dwa albo i trzy razy. Co? Oto jest rzecz, której szukam.

— Będzie to jednak bardzo wyczerpujące dla człowieka — odrzekłem.

— Bezwątpienia. Ale będzie się też jadło podwójnie lub potrójnie — i tak dalej. Niech pan tylko pomyśli, co to znaczy! Proszę sobie wyobrazić taki flakon — to mówiąc, podniósł do góry butelczkę z zielonego szkła i począł nią poruszać w takt swych słów — a w tym flakonie możność myślenia podwójnie, podwójnej szybkości ruchów i podwójnej ilości pracy, niż zazwyczaj...

— Ale czyż to możliwe?

— Tak sądzę. Jeżeli zaś nie, to tracę napróżno czas od roku. Te, naprzykład, preparaty tyfofosfitywe świadczyłyby o czemś... Nawet, gdyby chodziło o przyspieszenie półtora raza.

— Tak, toby też wystarczyło — odrzekłem.

— Gdyby pan był, na przykład, mężem stanu, zawałonym robotą — a tu czas ucieka... Co?

— Tak! Dać wtedy kilka kropli sekretarzowi przywatnemul

— I zarabiać... podwójnie. A teraz niech pan pomyśli: pragnie pan skończyć książkę...

— Zazwyczaj — odrzekłem — pragnąłbym jej wcale nie zaczynać.

— Albo doktór, zastanawiający się nad śmiertelnym wypadkiem. Albo adwokat, albo ktoś, zdający egzamin...

— Dla tych ludzi — odrzekłem — każda kropla wartaby była gwinei albo i więcej.

— A podczas pojedynku — dodał Gibbern — kiedy wszystko zależy od szybkości, z jaką naciska się cyngiel.

— Albo załoni się szablą.

— Widzi pan — mówił Gibberne — gdybym znalazł taki ogólnie przyśpieszający środek, nieszkodliwy dla zdrowia... Tyle tylko, że w bardzo nieznacznym stopniu postarzałby ludzi... Żyłoby się podwójnie w porównaniu z innymi.

— Obawiam się jednak — rozważyłem — czy podczas pojedynku byłoby to lojalne...

— To już jest pytanie dla sekundantów — odrzekł Gibberne.

Znów wyraziłem swą wątpliwość:

— I pan naprawdę myśli, że to jest możliwe?

— Równie możliwe — odrzekł Gibbern, spojrzawszy przez okno na wehikuł, przejeżdżający z hałasem i stukiem — jak autobus. Właściwie...

Zamilkł, uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo i postukał o brzeg biurka swoim zielonym flakonem.

— Zdaje się, że mam już to, o co mi chodzi..  
Właśnie otrzymałem coś w tym rodzaju.

Jego nerwowy uśmiech zdradzał powagę rewelacji. Nie miał zwyczaju mówić o nieukończonych jeszcze doświadczeniach, chyba, że był ich zupełnie pewny.

— I jest możliwe, możliwe — nie zdziwi mnie to wcale — jeżeli uda mi się osiągnąć szybkość więcej, niż podwójną.

— To byłoby wielkie odkrycie!

— A tak, przypuszczam, że byłoby to rzeczywiście wielkie odkrycie.

Nie sądzę jednak, mimo wszystko, że zdawał sobie wówczas sprawę, jak bardzo wielkie było to odkrycie.

Pamiętam, że jeszcze kilkakrotnie rozmawialiśmy o nowym preparacie. Profesor nazwał go „Eliksirem przyspieszającym” czyli „Nowym Aceleratorem”, a mówił o nim tonem co raz pewniejszym. Czasem poczynił rozważać nerwowo nieprzewidziane działanie, jakie eliksir może wywierać na organizm ludzki, i wówczas stawał się niespokojny; kiedy indziej rozpatrywał sprawę handlowo i rozprawialiśmy długo a gorąco, w jaki sposób wykorzystana się preparat pod względem pieniężnym.

— Będzie można na tem grubo zarobić—mówił Gibberne—ale to grubo zarobić! Daję światu coś, naprawdę coś i uważam za słuszne, że świat za to zapłaci. Dobro nauki jest bardzo piękną rzeczą, ale myślę, że lepiej będzie zachować dla siebie wyłączną sprzedaż preparatu w ciągu jakich, powiedzmy, dziesięciu lat. Nie pojmuję dlaczego wszystkie radości życia mają być tylko udziałem handlarzy wieprzowina.

Zainteresowanie moje nowym preparatem nie zmniejszało się z upływem czasu. Posiadam pewną



skłonność do zagadnień metafizycznych. Lubiłem zawsze paradoksy, dotyczące czasu i przestrzeni; to też wydało mi się, że wynalazek Gibberne'a wywoła całkowite przyspieszenie tempa życia. Wyobraźmy sobie człowieka, który systematycznie zażywa taki preparat: życie jego będzie czynne i bogate, ale w jedenastym roku życia będzie już dorosły, w dwudziestym piątym — dojrzały, a w trzydziestym — znajdzie się na drodze do uwiadu starczego. Zdawało mi się, że preparat Gibberne'a wytworzy w ludziach właściwości, któremi przyroda obdarzyła Żydów i narody wschodnie. Będąc mężczyznami już w piętnastym roku życia, a starcami — w pięćdziesiątym, są oni zdolni do szybszych myśli i czynów, niż my. Cudowne własności lekarstw wywierały na mnie zawsze wielkie wrażenie, zwłaszcza, gdy myślałem, że są one zdolne doprowadzić człowieka do szaleństwa albo uspokoić, uczynić go niezwykle silnym i dzielnym albo bezradnym i słabym, podniecić jakąś namiętność i złagodzić inną. A oto nowy cud dołącza się do arsenału, którym rozporządza lekarz. Ale Gibberne był na- zbyt pochłonięty wymogami technicznymi wynalazku, aby zagłębiać się w tego rodzaju rozważania.

Siódmego czy ósmego sierpnia zakomunikował mi, że właśnie w chwili, kiedy sobie tutaj rozmawiamy, odbywa się destylacja preparatu, która zdecyduje o jego sukcesie lub niepowodzeniu; a dziesiątego sierpnia oznajmił, że rzecz jest gotowa i że „Eliksir przyspieszający” jest zjawiskiem najrealniejszym w świecie. Spotkałem profesora, wchodząc na Sandgate Hill, w kierunku Folkestone — szedłem, jeżeli się nie mylę, do fryzjera, aby się ostrzyć. Nagle zobaczyłem, że profesor pędzi na moje spotkanie; przypuszczam, że był u mnie w domu, aby

mi oznajmić natychmiast swój sukces. Przypominam sobie, że oczy jego gorączkowo błyszczały, a twarz była purpurową; spostrzegłem też niezwykłą szybkość jego chodu.

— Zrobione!—krzyknął, chwytając mnie za rękę.—Więcej, niż zrobione! Niech pan idzie ze mną prędko do domu, to zobaczy...

— Naprawdę?

— Naprawdę!—wrzasnął.—Niesłychane, zdumiewające! Niechno pan idzie prędzej!

— Przyspiesza—podwójnie?

— Co tam podwójnie! Więcej, znacznie więcej! Jestem oszołomiony. Chodźmy prędzej! Spróbuj pan preparatu! zobaczy pan! Niesłychane, zdumiewające!

Pochwylił moje ramię i zaczął wspinać się na wzgórce tak prędko, krzycząc i gestykulując, że musiałem niemal biec za nim. Pewna wycieczka, jadąca auto-carem, wyrzeszczyła na nas unisono oczy, jak to zwykle czynią wycieczkowicze, jadący auto-carem. Dzień był jasny i gorący, jeden z tych dni, tak częstych w Folkestone, kiedy to wszystkie barwy błyszczą jaskrawo, a kontury przedmiotów zarysowują się ostro. Wiał też wietrzyk, ale zbyt nikły, aby mnie w takich okolicznościach ochłodzić i osuszyć. Zawolałem łaski.

— Alboż ja tak prędko chodzę?—zapytał Gibberne i zwolnił kroku, maszerując jednak bardzo szybko.

— Czyż pan spróbował trochę tego lekarstwa?—zapytałem, ciężko dysząc.

— Nie—odrzekł—zaledwie kropelkę wody, którą wypłókałem kieliszek po moim eliksirze.

— Więc działanie jest podwójne?—zapytałem, podchodząc do drzwi profesorskiego domu, rozpaczliwie spocony.

— Tysiącokrotne! Więcej, niż tysiącokrotne! — wrzasnął Gibberne, otwierając dramatycznym ruchem rzeźbioną dębową bramę, w stylu staroangielskim.

— Nie! — zawołałem, wchodząc w drzwi.

— Nawet nie wiem, ilokrotnie przyspiesza — odrzekł, z kluczem w ręku.

— I pan...

— RzUCA to zupełnie nowe światło na fizjologię nerwów, przedstawia w zupełnie nowej formie teorię widzenia!... Bóg raczy wiedzieć, ile razy! Będziemy myśleli o tem później. Narazie chodzi o to, aby wypróbować preparat.

— Mamy zażyć go? — zapytałem w przedpokoju.

— Ano, tak! — odrzekł Gibberne już z laboratorium. — Oto jest w tej małej, zielonej flaszeczce. Chyba, że pan się boi...

Jestem z natury ostrożny, awanturiczny zaś — tylko w teorii. Bałem się. Ale z drugiej strony, byłoby się czem pysznić później.

— Dobrze — wybąknąłem — pan już próbował, prawda?

— Próbowałem — odrzekł — i jak pan widzi, nic mi się nie stało. Nie wyglądałem chyba, jak mortus; przeciwnie, czuję się...

Osiadłem.

— Niech mi pan naleje — rzekłem. — W najgorszym wypadku nie będę się musiał więcej strzyć ani golić, co jest najpotworniejszym pomysłem cywilizowanego człowieka. Jak się zażywa tej mikstury?

— Z wodą — i Gibberne postawił na stole kafełkę.

Siedziałem na fotelu, a on stał przed biurkiem i patrzył na mnie. Przypomniał sobie nagle, że jest lekarzem, specjalistą z Harley Street.

— Uprzedzam pana, że to lekarstwo jest trochę dziwne.

Machnąłem ręką.

— Uprzedzam też pana, że natychmiast po zacyciu należy zamknąć oczy i otwierać je powoli, nie wcześniej, niż po minucie. Widzi się i potem. Zmysł wzroku zależy od czasu wibracji, a nie od ilości zjawisk. Jest to jednak rodzaj szoku dla siatkówki, przykre olśnienie, jeżeli ma się oczy otwarte. Niech pan zamknie powieki.

— Dobrze. Już!

— Dalej, niech się pan nie rusza; łatwo się porozbijać. Odrazu się pan wyrznie o coś. Trzeba pamiętać, że będzie pan funkcjonował kilka tysięcy razy prędeżej, niż zazwyczaj; serce, płuca, mózg — wszystko — to też można się potłuc porządnie, nim się człówek obejrzy. Po za tem, nie będzie pan sobie zdawał sprawy z żadnej zmiany. Będzie się pan czuł, jak w tej chwili. Tyle tylko, że wszystko na świecie będzie się poruszało kilka tysięcy razy wolniej. Dzięki temu właśnie, świat wyda się tak dziwny.

— Boże święty! — zawołałem. — I pan sądzi...

— Sam pan osądzi — odrzekł i wziął kroplomierz. Potem spojrzął na biurko: — Szklanki... woda... jest wszystko. Nie należy zażywać zbyt wiele za pierwszym razem.

Odliczył kilka cennych kropli.

— Niech pan nie zapomina, com powiedział — rzekł, wlewając zawartość kroplomierza do szklanki ruchem Włocha, odmierzającego wetail. — Należy siedzieć z zamkniętymi oczyma, absolutnie bez ruchu, przez dwie minuty. Aż do chwili, kiedy zacznę do pana mówić.

Dolał teraz wody do obydwóch szklanek.

— Ale, prawda! — dodał. — Niech pan nie stawia

szklanki zpowrotem na stole. Może ją pan trzymać w rękę, a łokieć oprzeć na kolanie. O tak! No, a teraz...

Podniósł szklanke.

— Za „Nowy Acelerator!”

— Za „Nowy Acelerator!” — zawołałem i trąciliśmy się szklankami. Wypiłem roztwór i natychmiast zamknąłem oczy.

Znacie to uczucie pustki i niebytu...

Trwało przez czas nieokreślony. Potem usłyszałem głos Gibberne'a, który kazał mi obudzić się; ocknąłem się więc i otworzyłem oczy.

Stał, jak poprzednio, ze szklanką w rękę. Tyle tylko, że była pusta.

— I cóż? — powiedziałem.

— Wszystko w porządku?

— Najzupełniej. Tak się tylko czuję, jakbym się wstawił. Nic więcej.

— Słyszysz pan coś?

— Nic specjalnego — odrzekłem. — Ależ tak, do licha, nic nie słyszę. — Może tylko lekki plusk, lap, lap, jakby deszcz padał na różne przedmioty. Co to jest?

— Dźwięki, rozłożone na części składowe — odpowiedział — tak mi się przynajmniej zdaje. Patrzył w okno. — Czy pan widział kiedy firankę w takiej pozycji?

Spojrzałem w tę stronę: koniec firanki sterczał sztywno, nieruchomo, jakby wzdąwszy się od wiatru, zatrzymał się nagle.

— To dziwne — odrzekłem.

— A to? — powiedział i otworzył dłoń, w której trzymał szklanke.

Zamrugąłem naturalnie oczyma, oczekując, że naczynie spadnie za chwilę na ziemię i potłucze się. Nic podobnego!

Wcale nie poruszała się z miejsca: wisiała nieruchomo w powietrzu.

— Naogół biorąc — rzekł Gibberne — w naszej szerokości geograficznej przedmiot, spadając, przebywa szesnastcie stóp w pierwszej minucie. I ta szklanka spada z szybkością szesnastu stóp na sekundę, tylko, że widzi pan, jeszcze nie upłynęła setna część sekundy. To panu powinno dać pojęcie o szybkości mego przyśpieszacza.

Powiódł ręką dookoła, ponad i poniżej spadającej powoli szklanki, wrzeszcze pochwycił ją za dno i postawił bardzo ostrożnie na stole.

— Co, he? — odezwał się ze śmiechem.

— Wszystko to jest pierwsza klasa — zdecydowałem, zaczynając powolutku wstawać z krzesła. Czuję się doskonale, bardzo lekko i przyjemnie, ponadto byłem pełen ufności w swoje siły. Organizm mój funkcjonował z ogromną szybkością. Serce, na przykład, biło tysiąc razy na sekundę, ale nie czułem się wcale przez to gorzej. Wyjrzałem przez okno. Nieruchomy cyklista z pochyloną głową tkwił w obłoku kurzu, jakby chciał dogonić rozpędzony omnibus, który nie ruszał się z miejsca.

— Gibbernie! — zawołałem. — Jak długo może trwać działanie tej przeklętej mikstury?

— Bóg to raczy wiedzieć! — odrzekł. — Ostatnim razem, kiedym tego zażył, położyłem się do łóżka i przespałem czas działania. Muszę się przyznać, że miałem stracha nie na żarty. Minęło wówczas kilka minut. Mnie się wydały godzinami. Po pewnym jednak czasie efekt znika gwałtownie.

Byłem bardzo dumny; nie czułem żadnego lęku — może dlatego, że byliśmy we dwoje.

— Możebyśmy wyszli trochę? — zaproponowałem.

— Czemu nie!

— Tylko, że ludzie nas zobaczą...

— Ludzie? Nie! Chwała Bogu—nie. Jakto? będziemy się przecież poruszali z szybkością tysięcy razy większą, niż może być dokonana najbliższawicznieszaz sztuka magiczna. Chodźmy! Którędy wyjdziemy? Drzwiami czy oknem?

Wyszliśmy oknem.

Ze wszystkich dziwnych eksperymentów, jakie przerabiałem, o jakich marzyłem albo czytałem, najdziwniejszym był bieg mój z Gibberne'em, pod wpływem „Nowego Aceleratora”, wzdłuż promenady Folkestone. Wyszliśmy za furtkę i poczęliśmy czynić po drodze drobiazgowe spostrzeżenia nad posągową nieruchomością przejeżdżających wehikułów. Ruch nóg końskich, obrót kół przejeżdżającego omnibusu, koniec bata i szczękakonduktora—który właśnie zaczął ziewać—były do pewnego stopnia widoczne, ale reszta ciężkiego pojazdu zdawała się stać spokojnie i bezgłośnie, słyszałem jedynie dźwięk słabego kaszlu, który wstrząsał jednym z pasażerów.

Na tym zakrzepłym pojeździe widniał konduktor, woźnica i jedenastu pasażerów. Efekt ogólnej nieruchomości wydawał nam się z początku dziwnym, potem stał się przykrym. Wszyscy przechodnie, tak podobni do nas, a tak różni, zamarli w niedbałych pozach, zatrzymali się do siebie, zakochana para uśmiechała się do siebie, skrzywionym uśmiechem, trwającym w nieskończoność; kobieta w dużym kapeluszu trzymała rękę na poręczy balkonu, patrząc na dom Gibberne'a nieruchomym wzrokiem wieczności; pan jakiś trzymał rękę przy wąsach, jak lalka woskowa, a inny wyciągnął powolną, sztywną dłoń z rozczapierzonymi palcami po kapelusz, unoszony przez wiatr. Przyglądaliśmy się im wszystkim, śmiejąc się i wykrzy-

wiając; ale wkrótce poczuliśmy rodzaj niesmaku. Zawróciliśmy więc i przeszedłszy przez jezdnię tuż przed cyklistą, skierowaliśmy się w stronę promenady.

— Tam, do licha! — zawołał Gibberne. — Niechno pan patrzy!

Wpobliżu jego wskazującego palca obsuwała się wdół pszczoła, machając wolniutko skrzydłami; ruszała się nie prędzej od bardzo ociężałego ślimaka.

Takieśmy doszli do promenady. Tam rzeczy przedstawiały się jeszcze cudaczniej, niż dotychczas. Na estradzie grała orkiestra, ale dźwięki jej dochodziły nas, jako cieniutkie skrzypienie, trzask grzechotki, przeciągłe westchnienie albo tykanie potwornego zegara. Zastygli ludzie stali sztywno dziwni, cisi, nadęci, zawieszeni w półkroku, bez względu na równowagę. Przeszedłem tuż koło małego pieska, wiszącego w powietrzu, w trakcie skakania; patrzyłem na powolne ruchy jego łap, dążących do zetknięcia się z ziemią.

— Boże! Spójrz pan tutaj! — zawołał Gibberne.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przed jakąś wspaiałą osobistością, w białym flanelowym garniturze w paski, w białych pantoflach i panamie. Pan ów oglądał się, robiąc oko do dwóch dam w jasnych sukniach. Tak zwane „oko”, studjowane bez pośpiechu, jakieśmy to czynili, mało jest pociągające. Traci charakter chwilowej wesołości: widać, że „oczkujące” oko nie domyka się zupełnie, a pod załzawioną powieką pojawia się dolna część tęczówki i wąska linja białka.

— Niech Bóg mnie bron! — powiedziałem. — Więcej nie będę robił oka.



— Ani uśmiechał się—dodał Gibberne, badając zęby jakiejś mówiącej pani.

— Jest piekielnie gorąco — zauważyłem. — Nie chodźmy tak szybko.

— Co tam! W drogę!

Przeszliśmy pomiędzy krzesłami, rozstawionymi w alejach. Większość osób, siedzących tam, zachowała pozę naturalne, ale powykrzywiane purpurowe twarze muzyków wyglądały wprost niepokojąco. Czerwonolicy jegomość zamarł w gwałtownej walce z wiatrem o gazetę. Wszystko świadczyło, że ta apatyczna publiczność wystawiona była na silny wiatr, wiatr, którego egzystencja nie przenikała do naszego czucia. Oddaliśmy się trochę od tłumu, patrząc nań zdaleka. Zaczynałem wierzyć w czary, patrząc na ten tłum, zamieniony na żywy obraz, wysztywniony i nieruchomy, jak grupa figur woskowych. Miałem entuzjastyczne, irracjonalne poczucie ogromnej wyższości nad temi ludźmi — co było oczywiście nonsensem. Ale działał się cud! Wszystko, co pomyślałem, powiedziałem, zrobiłem, od kiedy preparat zaczął działać na mój organizm, było dziełem jednej chwili.

— „Nowy Acelerator”...—zacząłem, ale Gibberne przerwał mi:

— Ah! jest i stara wiedźma!

— Jaka wiedźma?

— Moja sąsiadka. Ma psa, który wciąż szczeka. Nie! Pokusa jest nazbyt silna.

Gibberne bywa czasami dziecinny i impulsywny. Nim mogłem temu zapobiec, pomknął, jak strzała, przed siebie, porwał nieszczęsne stworzenie i pobiegł z nim pędem w kierunku skał nadbrzeżnych. Wyglądało to niesłychanie dziwnie. Zwierzątko nie szczekało, nie wrywało się, nie dawało wogóle żadnego znaku życia. Pozostało w śpiącej pozycji,

choć Gibberne trzymał je za kark. Zdawałoby się, że ten biegnący człowiek niesie psa z drzewa.

— Profesorze! — zawołałem. — Niech pan zostawi tego psa!

Zakląłem.

— Jeżeli pan będzie biegł w ten sposób — krzychałem — zapali się na panu ubranie. Pańskie płocienne spodnie już się tlą.

Dotknął się ręką ubrania i zatrzymał się z wahaniem na skale.

— Profesorze! — zawołałem raz jeszcze, podchodząc. — Niechże pan położy to stworzenie. Upał staje się nie do zniesienia! I jeszcze te pańskie wyścigi! Dwie albo trzy mile na sekundę! Tarcie powietrza...

— Co? — zapytał, patrząc na psa.

— Tarcie powietrza! — wrzasnąłem. — Tarcie powietrza! Nie można tak pędzić! Jak meteory, czy co, u diabła. Gorąco! Kłuje mnie całe ciało i wypociłem wszystko, co się dało. Ale widać już, że ludzie zaczynają się powoli poruszać. Widocznie preparat przestaje działać. Niechże pan zostawi tego psa!

— Co? — zapytał znowu.

— Preparat przestaje działać! — powtórzyłem. — Stanowczo jest tu za gorąco i preparat przestaje działać. Jestem cały mokry.

Patrzył na mnie uparcie. A potem spojrzął na orkiestrę, której zgrzytanie poczęło się przyspieszać. W chwilę później, szerokim rzutem ramienia cisnął psa, który, kręcąc się, wciąż nieruchomy, zawisł nad grupą parasolek pewnego zagadanego towarzystwa. Gibberne pochwycił mnie za łokieć.

— Do licha! — zawołał. — Zdaje się, że pan ma rację. Jakby kłucie pałace i... Tak! Ten człowiek porusza chusteczką. Widać. Trzeba stąd wiać.

Aleśmy nie mogli wiać. Na szczęście, zresztą. Bo gdybyśmy pobiegli, jak to było w naszej mocy, przypuszczam, że stanęlibyśmy niezwłocznie w ogniu.

Zapalilibyśmy się z całą pewnością. Rozumiecie, że żaden z nas nie pomyślał o tem wcześniej... Ale nimeśmy jeszcze zaczęli biec, preparat nagle przestał działać. Stało się to w ciągu ułamka sekundy. Działanie Aceleratora nagle znikło, jak kurtyna w teatrze, rozwiało się w mgnieniu oka. Usłyszałem głos Gibberne'a, strasznie zaniepokojony.

— Niech pan siada!

I — trrach! siadłem na trawniku przy krawędzi Promenady, dymiący i przypalony. W miejscu, gdzie siedziałem, trawa do dziś jest wypalona. W tej samej chwili całe otoczenie zbudziło się z ogólnej stagnacji; nieartykułowane wichrace orkiestry rozbrzmiały muzyką, spacerowicze opuścili nogi i poszli dalej, papiery i chorągwie poczęły trzepotać się na wietrze, uśmiechy przelały się w słowa, elegancki przechodeń skończył „oczekowanie” i podążył z zadowoloną miną swoją drogą, a cały tłum począł poruszać się i mówić.

Cały świat powrócił do życia, do życia w tem samym tempie, co i my, a raczej my poczęliśmy żyć w tem samym tempie, co i on. Jakgdyby przyjazd pociągu na stację! Przez sekundę świat zawisł koło mnie, poczułem lekkie mdłości — to wszystko. A mały piesek, który zdawał się wisieć w powietrzu, spadł na parasolkę jakiejś pani.

To nas uratowało! Gdyż pewien otyły, starszy pan, wyciągnięty na leżaku, zadrżał na nasz widok, spojrział ponurym, podejrzliwym wzrokiem, a wreszcie powiedział coś do swojej pielęgniarce. Wątpię, czy ktokolwiek jeszcze spostrzegł naszą obecność. Paf! Odrazuśmy się przestali przypalać, choć trawa pode mną wciąż jeszcze była nieprzyjemnie

gorącą. Uwaga wszystkich — włączając w to orkiestrę, która po raz pierwszy, jak głosi jej historia, zagrała fałszywie — uwaga wszystkich skupiła się na niezwykłym fakcie oraz na jeszcze bardziej niezwykłym szczekaniu i tumultcie: czcigodny, przetłuszczony szpic, śpiący spokojnie po zachodniej stronie estrady, spadł nagle na parasol damy, siedzącej po stronie wschodniej — i to z osmaloną szerścią, wskutek nieprawdopodobnej szybkości, z jaką leciał przez powietrze. I to w naszych absurdalnych czasach, gdy wszyscy starają się być „psychologiczni”, naiwni i przesądni, ile się tylko „zmieści”. Ludzie porwali się z miejsc, popychając jedni drugich, przewracano krzesła i przyleciał policjant. Jak się zakończyła cała awantura, nie mam pojęcia — za bardzo nam zależało, żeby się stamtąd wycofać i uniknąć pytających spojrzeń starego pana. Jak tylkośmy dostatecznie ochłodli i oprzytomnieli po zawrocie głowy, mdłościach i zamroczeniu umysłu, powstałiśmy z ziemi i okrążając tłum, przeszliśmy poza hotelem „Metropole” w stronę domu Gibberne’a. Zdażyłem jeszcze usłyszeć wyraźnie, jak pan, siedzący obok damy z podartą przez psa parasolką, rozprawiał się w sposób niezastłony z człowiekiem, wynajmującym krzesła.

— Jeżeli to nie pan rzucił tego psa — krzyczał — to któż w takim razie?

Nagły powrót znajomych ruchów i dźwięków, zrozumiałą w takiej sytuacji niepokój — ubrania nasze były wciąż jeszcze rozprażone do niemożliwości, a przód spodni profesora zwęglił się zupełnie — przeszkodziły mi w zebraniu dokładniejszych obserwacji, tak, jak tego pragnąłem.

Szczerze mówiąc, nie poczyniłem na powrotnej drodze żadnych spostrzeżeń, któreby posiadały wartość naukową. Pszczoła, naturalnie, odleciała.

Kiedyśmy powrócili na ulicę Landgate poszukałem wzrokiem cyklisty, ale nie mogłem go już dojrzeć, albo może pojazdy go zastoniły. Omnibus z pasażerami, żywymi i rozgadanyymi, przejeżdżał sobie przez plac pod kościołem.

Zauważyliśmy po za tem, na parapecie okna, przez któreśmy wyszli z domu, nalot spalenizny, a ślady naszych stóp na żwirze alei były głębsze, niż zazwyczaj.

W ten sposób wypróbowałem na sobie po raz pierwszy działanie Aceleratora. Cała nasza wyprawa, podczas której biegaliśmy, gadali i widzieli najrozmaitsze rzeczy, trwała nie więcej, niż dwie sekundy. Przeżyliśmy pół godziny, podczas, gdy orkiestra zagrała może dwa takty. Mieliśmy wrażenie, że świat cały się zatrzymał, aby nam dogodniej było go obserwować. Zważywszy to wszystko, a zwłaszcza nasze lekkomyślne wyjście poza dom, należy wnioskować, że doświadczenie to mogło się znacznie gorzej zakończyć. Dowiodło ono w każdym razie, że choć Gibberne wiele będzie musiał pracować, nim przysposobi zupełnie swój preparat do użytku, jednakże możliwość istnienia eliksiru przyśpieszającego została dowiedziona niezbitnie.

Od tej przygody profesor pracuje nad udostępnieniem działania preparatu świadomej kontroli człowieka. Wielokrotnie bez żadnych złych skutków zażywałem pod jego kierunkiem niewielkie dozy eliksiru. Muszę się jednak przyznać, że dotychczas nie odważyłem się w takim stanie wyjść poza dom. Dodam jeszcze, że naprzykład, to opowiadanie napisałem pod działaniem preparatu na jednym posiedzeniu i bez przerwy, jeżeli nie liczyć chwili, kiedy odgryzłem kawałek czekolady. Zacząłem pisać o godzinie szóstej minut dwadzieścia pięć, a mój zegarek wskazuje obecnie minutę po wpół

do siódmej. Wygoda, jaką daje wykonanie dłuższej i nieprzerwanej pracy w ciągu dnia, pełnego różnorodnych zajęć, jest nie do opisania. Gibberne pracuje obecnie nad dozowaniem preparatu, w zależności od jego działania na różne rodzaje organizmów ludzkich. Spodziewa się wynaleźć Opóźniacz albo Retardator, przy którego pomocy złagodzi nieco nadmierne efekty swego pierwszego preparatu. Opóźniacz będzie miał, oczywiście, działanie wręcz przeciwne, niż przyspieszacz; da on możliwość skurczyć kilka godzin zwykłego czasu do rozmiarów sekundy i w ten sposób pozwoli zachować apatyczną bezczynność, lodowaty brak ożywienia, w najbardziej podnieconem czy rozdrażnionem otoczeniu. Oba te wynalazki wywołają, niewątpliwie, przewrót w całym dotychczasowym życiu. W ten sposób wyzwolimy się z tej „Szaty Czasu”, o której mówi Carlyle. Acelerator pozwoli skupić się z niezwykłą siłą w każdym wypadku, który będzie wymagał całej naszej energii i przytomności umysłu; Opóźniacz zaś pozwoli przetrwać spokojnie okresy przykre czy nudne. Może jestem nazbyt optymistycznie nastrojony w stosunku do Opóźniacza, który nie jest jeszcze odkryty, ale co się tyczy „Nowego Aceleratora”—niema żadnych wątpliwości. Można go będzie nabyć w małych, zielonych flakonach u każdego aptekarza, po cenie zapewne dość wysokiej, ale nie nadmiernej, jeżeli się zważy jego niezwykle właściwości.

Będzie się nazywał „Aceleratorem Nerwowym Gibberne'a” i wynalazca sądzi, iż uda mu się spreparować go w trzech stopniach napięcia: 200°, 300° i 900°, które oznaczone będą etykietami: białą, różową i żółtą.

Nie ulega wątpliwości, że działanie preparatu umożliwi wykonanie rzeczy niezwyklej. Można

będzie bowiem z jego pomocą dokonać czynów zarówno najwybitniejszych, jak i najbardziej zbrodniczych, wślizgując się, że tak powiem, w przerwę między normalnym czasem. Będzie łatwo nadużyć Aceleratora, jak wszystkich wielkich odkryć. Przedyskutowaliśmy dokładnie tę stronę sprawy z profesorem i zdecydowaliśmy, że to' już jest kwestja z zakresu medycyny sądowej, nie dotycząca nas wcale. Poprzestaniemy na wyrobie i sprzedaży „Aceleratora Gibberne'a", a jakie będą konsekwencje—zobaczmy.

## NIEDOŚWIADCZONE WIDMO

Żywo stoja mi jeszcze przed oczyma okoliczności, w których Clayton opowiedział nam swą ostatnią historję. Siedział wtedy przy kominku, w starym dębowym fotelu, a tuż obok Sanderson palił fajkę, noszącą toż samo, co i on, imię. Był też z nami Evans i najwspanialszy z aktorów, człowiek czarującej skromności—Wish.

Owej soboty przyszlśmy wszyscy przed południem do klubu „Mermaid”. Tylko Clayton nocował w klubie—i to dało początek jego historii. Graliśmy w golfa, póki się nie ściemniło, i po obiedzie odpoczywaliśmy w tym spokojnym, pogodnym nastroju, kiedy to chętnie słucha się zwierzeń i opowieści. Kiedy Clayton zaczął mówić, uważaliśmy, oczywiście, że zmyśla. Może i zmyślał—czytelnik będzie mógł wkrótce osądzić narówni ze mną. Zaczął opowiadanie, co prawda, w formie rzeczowej anegdoty, aleśmy to uznali za umiejętny chwyt dobrego opowiadacza.

— Słuchajcie — rzekł, patrząc przeciągle na deszcz iskier, sypiących się z polan drzewnych, gdy Sanderson poprawił ogień na kominku.—Wiecie, zem spędził tutaj noc sam jeden. Prócz mnie, nie było żywej duszy.



— Z wyjątkiem służby—zaznaczył Wish.

— Która śpi w innym skrzydle domu — dodał Clayton.—Tak. Otóż...

Pykał powoli cygaro, jakby zastanawiając się, czy ma mówić dalej. Potem powiedział spokojnie:

— Złapałem upiora!

— Złapał pan upiora?! — rzekł Sanderson. — Gdzież on jest?

A Evans, admirujący ogromnie Clayтона, zawołał:

— Złapał pan upiora? Ach, jak to dobrze! Niech nam pan opowie, jak się to stało?

Clayton zgodził się, poprosił tylko, żeby zamknąć drzwi. Spojrzał na mnie, jakby z usprawiedliwieniem:

— Nikt nie podsłuchuje pode drzwiami, to pewne, ale poco straszyć służbę historjami o duchach. Za dużo jest tutaj ciemnych kątów i starych, dębowych buazeryj. A to moje widmo nie było właściwie prawdziwym upiorem. Nie przypuszczam, żeby tu się pojawiło jeszcze kiedykolwiek.

— To znaczy, że pan go nie zatrzymał?—zapytał Sanderson.

— Nie miałem serca—rzekł Clayton.

Sanderson wyraził zdziwienie, myśmy się rozśmieli, a Clayton miał twarz zasmuconą.

— Wiem—powiedział, usiłując się uśmiechnąć.

— Ale to był *naprawdę* duch; jestem tego tak pewny, jak tego, że was widzę w tej chwili. Nie żartuję. Wiem, co mówię.

Sanderson zaciągnął się z fajki i utkwivszy w Claytonie skośne spojrzenie swych czerwonych oczek, zionął cienką smugą dymu, wymowniejszą, niż słowa.

Clayton zignorował ten komentarz.

— Jest to najdziwniejsze wydarzenie, jakie przy-

trafiło mi się w życiu. Wiecie dobrze, że nie wierzę w duchy ani w nic podobnego. Aż tu, nagle, znajduję takiego gościa w kącie i sam muszę się uporać z taką sprawą. Zamyslił się jeszcze głębiej, poczem obciął cygaro zabawnym instrumencikiem własnego wynalazku.

— Mówił pan z nim?—zapytał Wish.

— Przez jaką godzinę.

— Rozmowny! — zauważyłem, stając w obozie sceptyków.

— Biedak był strasznie niespokojny—rzekł Clayton, z lekkim wyrzutem, patrząc na koniec swego cygara.

— Płakał?—zapytał ktoś.

Clayton westchnął głęboko:

— Mój Boże! Tak!

I po chwili:

— Tak! Biedny chłopak!

— Grzmotnąłeś go pan?—zapytał Evans z lekkim amerykańskim akcentem.

— Nie miałem pojęcia — rzekł Clayton, udając, że go nie słyszy—jak nieszczęśliwem stworzeniem może być takie widmo.

I znów pozostawił naszą uwagę w napięciu, szukając po kieszeniach zapalek.

— Miałem nad nim przewagę—dodał wreszcie.

Nie okazywaliśmy zniecierpliwienia.

— Charakter człowieka—mówił—pozostaje bez zmiany, kiedy człowiek zbędzie się ciała. O tem nazbyt często zapominamy. Ludzie o silnej woli i zdecydowanym chceniu stają się duchami silnymi i zdecydowanymi — większość „straszących“ upiórów musi pochodzić od manjaków, monoideistów, ludzi upartych, jak kozły, żeby tak wracać ciągle i ciągle zpowrotem. Ten biedak do takich nie należał.

Clayton rozejrzał się dziwnie i obszedł pokój dookoła.

— Mówię z całą życzliwością—zaznaczył.—Jest to zresztą najzupełniejsza prawda. Na pierwszy rzut oka upiór mój wydał mi się słabiutki.

Podkreślił swoje słowa ruchem ręki, trzymającej cygaro.

— Wpadłem na niego w tym długim korytarzu, wiecie? Stał obrócony tyłem i ja ujrzałem go pierwszy. Był przezroczysty i białawy; widziałem lśnienie okienka w końcu korytarza poprzez jego postać. Wygląd ducha i zachowanie upewniło mnie o jego słabości. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział absolutnie, co ze sobą począć. Jedną ręką opierał się o boazerję, drugą, drżącą, zasłaniał usta. O tak!

— Jak wyglądał? — zapytał Sanderson.

— Chudy. Znacie te szyje młodzieńcze, które się kończą dwoma różkami wzdłuż pleców, tu i tu, wiecie? Mała, głupawa główka, najeżone włosy, brzydkie uszy. Marne ramiona, węższe od bioder, wykładany kołnierzyk, krótka „gotowa” marynarka, nieodprasowane spodnie, wystrzępione nieco. Tak oto wyglądał. Wchodziłem spokojnie na schody. Nie miałem światła ze sobą, rozumiecie — lichtarze stoją w przedpokoju, a lampa jest tylko ta jedna — nosiłem miękkie pantofle i spostrzegłem go, kiedy już byłem na górze. Stałem, jak wryty, chcąc zdać sobie sprawę. Nie byłem ani trochę przestraszony. Przypuszczam, że w większości podobnych wypadków, nie czuje się ani przerażenia, ani podniecenia. Byłem tylko zdziwiony i zaciekawiony. Myślałem sobie: ...Wielki Boże! Otóż i duch... A nie wierzyłem przecie ani na chwilę w duchy przez całych dwadzieścia pięć lat.

— Hm! — mruknął Wish.

Stałem od paru chwil na platformie schodów, nim widmo mnie spostrzegło. Odwróciło gwałtownie głowę i ujrzałem twarz niedojrzałego młodzieńca, krótki nos, zakręcone wąsiki, cofnięty podbródek. Tak staliśmy przez chwilę; on — patrząc na mnie przez ramię, ja — mierząc go oczyma. Po chwili duch przypomniał sobie swoje wzniosłe powołanie. Zwrócił się do mnie, wyprostował, wysunął naprzód głowę, wyciągnął ręce w sposób, wypróbowany przez duchy — i zbliżył się do mnie. Opuścił przytem szczękę i wydał słaby dźwięk: — „Buuu!” — No nie, moi drodzy, nie wyglądał strasznie. Byłem po obiedzie. Miałem w głowie butelkę szampana, a że sam siedziałem cały wieczór — wypilem dwa, trzy, a może cztery czy pięć kieliszków whisky. Czulem się silny, jak skała, i nie więcej przestraszony, niż gdyby napadła mnie zaba.

— Buuu! — powiedziałem. — Głupstwo! Pan nie jest z tego domu! Co pan tu robi?

Widziałem, że zadrżał.

— Buu — uul — zahuczał.

— Buuu! Bodajbyś wisiał! Jesteś członkiem klubu czy nie?

I chcąc mu pokazać, że niewiele mnie wzrusza, postąpiłem krok poprzez jego osobę, aby zapalić świecę.

— Jest pan członkiem klubu? — powtórzyłem, patrząc nań uparcie.

Odsunął się trochę ode mnie i nos mu się spuścił na kwintę.

— Nie — odrzekł, na uparte pytanie moich oczu.

— Nie jestem członkiem klubu. Jestem duchem.

— Pięknie, ale to nie daje panu prawa latać po klubie „Mermaid”. Ma się tu pan z kim spotkać, czy co?

Zapaliłem świecę, panując nad swemi ruchami, gdyż nie chciałem, aby przypisał strachowi lekkie drżenie rąk po whisky. Podniosłem lichtarz do góry i spojrzałem na niego.

— Co pan tu robi ostatecznie?

Opuścił ręce i przestał huczeć. Stał, oszołomiony i niezaradny — widmo słabego, niezdecydowanego młodzika-głuptaka.

— Ja... straszę — wyjąkał.

— Niema pan nic lepszego do roboty? — zapytałem spokojnie.

— Jestem duchem — usprawiedliwił się.

— Możliwe, ale to nie pańska rzecz straszyć tutaj właśnie. Tu jest przyzwoity, prywatny klub; przychodzą tu często ludzie z dziećmi i z niańkami. Może się zdarzyć, że jakiś gość wpadnie na pana i szlag go trafi ze strachu. Pomyślał pan o tem?

— Nie, proszę pana, nie pomyślałem.

— A trzeba było! Nie ma pan zresztą żadnego powodu, żeby przychodzić do klubu. Zamordował tu kto pana, czy co?

— Nie, proszę pana. Tylko pomyślałem sobie, że dom jest stary i pełno boazeryj...

— To nie jest wymówka. — Spojrzałem nań ostro. — Pan się pomylił — dodałem tonem przyjaznej wyższości.

Udałem, że szukam zapalek i popatrzyłem mu w oczy.

— Na pańskim miejscu, nie czekałbym na pianie koguta. Zniknąłbym czem prędzej...

Wydawał się zakłopotany.

— Widzi pan... — zaczął.

— Jabym znikł — powtórzyłem.

— Kiedy, widzi pan... tego... kiedy ja nie mogę.

— Nie może pan?

— Nie, proszę pana. Zapomniałem czegoś. Pęta-  
tam tu się od zeszłej nocy, kryję się w szafach  
i pustych pokojach, gdzie się zdarzy. Jestem cał-  
kiem ogłupiały. Nigdy jeszcze dotychczas nie stra-  
szyłem i może dlatego tak mi nie idzie.

— Nie idzie panu?

— Tak, proszę pana. Próbowałem już parę ra-  
zy—i nic. Jest taki jeden maleńki ruch, którego za-  
pomniałem. I dlatego nie mogę zniknąć.

Było to, musicie przyznać, zastanawiające. Duch  
patrzył na mnie tak żałośnie, że za nic w świecie  
nie mógłbym go traktować ostro i zgóry, jak uprzed-  
nio.

— To dziwne — powiedziałem.

Nagle wydało mi się, że słyszę czyjeś kroki na  
dole.

— Chodźmy do mego pokoju i tam mi pan  
wszystko opowie — dodałem — bo, jak dotychczas,  
niewiele rozumiem.

Chciałem wziąć go za rękę. Rezultat był taki,  
jakbym usiłował złapać kłęb dymu. Zapomniałem,  
zdaje się, numeru swego pokoju. W każdym razie  
pamiętam, że wchodziłem do paru sypialni—były  
puste, ja jeden mieszkałem w klubie — zanim zna-  
lażem swoje walizy.

— Jesteśmy — powiedziałem, siadając w fotelu.  
— Niech pan siada i opowie mi, co należy. Zdaje  
się, mój stary, żeś się grubo wsypał.

Duch odpowiedział, że wolalby nie siadać, że  
jeżeli mi wszystko jedno, to woli fruwać po po-  
koju. Tak też uczynił, a po chwili wdaliśmy się  
w długą i poważną rozmowę. Wkrótce wódka wy-  
wietrzała mi z głowy i zrozumiałem, żeś się wdał  
w sprawę pieruńsko dziwną i niezwykłą. Duch uno-  
sił się przede mną w powietrzu, przezroczyście i ci-  
chy, choć obdarzony głosem. Konwencjonalne

widmo dziwnie wyglądało na tle miłego, obitego kretonem, pokoju. Miedziane lichtarze, brązowy ekran przed kominkiem, ramy obrazów — przeświecały przezeń, a on opowiadał historję swego nieznaczącego życia, które tak niedawno zakończyło się na ziemi. Twarz jego nie była specjalnie ujmująca, ani uczciwa; ale rozumiecie: będąc tak przezroczysty, mógł mówić tylko prawdę.

— Jakto? — zawołał nagle Wish, wyprostowując się na krześle.

— O co chodzi? — zapytał Clayton.

— Był przezroczysty... musiał mówić prawdę... nie widzę związków — zauważył Wish.

— Ani ja! — odrzekł Clayton, nie tracąc kontenansu. — Ale tak było, mogę pana zapewnić. Opowiedział mi, w jaki sposób umarł: zszedł do piwnicy ze świecą, gdyż gaz się ulatniał. Oznajmił mi, że był nauczycielem w jednej z prywatnych szkół londyńskich.

— Biedak — powiedziałem.

— Pomyślałem sobie toż samo, a im więcej duch mówił, tem bardziej wydawał mi się godny pozalowania. I w życiu, i poza życiem egzystencja jego nie miała żadnego celu. Mówił niechętnie i o ojcu, i o matce, i o nauczycielach, i o wszystkich, którzy mieli z nim jakąkolwiek styczność. Był nazbyt wrażliwy, nazbyt nerwowy; nikt go nie umiał zrozumieć ani ocenić — zapewniał. Przypuszczam, że nie miał nigdy prawdziwego przyjaciela; nigdy nie zaznał powodzenia. Nie umiał się bawić i ścinał się systematycznie na egzaminach.

— Bywają tacy ludzie — zapewniał. — Ilekroć wchodziłem do sali egzaminacyjnej, zapominałem języka w gębie.

Zareczył się właśnie — z równie przeczułą oso-

ba, przypuszczam — kiedy nieudana wyprawa dla zatkania rury gazowej położyła kres wszystkiemu.

— A gdzie się pan właściwie teraz znajduje? — zapytałem. — Nie w ...

Ułumaczył się niejasno. Mam wrażenie, że pozostaje on w niejasnym, przejściowym okresie, w specjalnej jakby rezerwie dla dusz, które nie umiały wybrać pomiędzy grzechem i cnotą. Nie wiem wreszcie. Był on nazbyt samolubny, a za mało spostrzegawczy, aby mi dać pojęcie o tem, co się dzieje z Tamtej Strony. Sprzymierzył się z bandą podobnych sobie duchów — głupawych i ślabowitych młodzieńców, noszących to samo imię chrzestne, którzy niewątpliwie mówili często o „straszaniu” podobnych rzeczach. Ba, kiedy owo „straszanie” przerażało przedewszystkiem ich samych, więc też poczęli namawiać jego właśnie. Podzegli go tak długo, aż poszedł.

— No, wiecie! — powiedział Wish.

— Takie na mnie przynajmniej uczynił wrażenie — rzekł skromnie Clayton. — Być może nie byłem nastrojony krytycznie, ale na takim właśnie tle mi się zarysował. Fruwał więc sobie tu i tam po pokoju, a cienki głosik brzęczał, brzęczał, snując opowieść o swojej marniutkiej osobie. Wszystko tonęło w powodzi mętnych słów i niewyraźnych faktów. Był jeszcze mniejszy, marniejszy i mniej znaczący, niż za życia. Tyle tylko, że gdyby żył, nie tolerowałbym go ani chwili w swoim pokoju. Poczęstowałbym go kopnięciem gdzieś i — dowiedział

— To prawda — zauważył Evans — zdarzają się śmiertelnicy tego pokroju.

— I równie jest prawdopodobne, że mogą zostać upiorami, jak każdy z nas — dodałem.

— Do pewnego stopnia zaciekaiała mnie roz-



pacz ducha z tego właśnie powodu, że się tu znalazł. Nieudana próba „straszenia” przygnębiła go ogromnie. Opowiadano mu, że to będzie „pyszny kawał”; poszedł więc w tej nadziei, tymczasem jedno jeszcze niepowodzenie uwieńczyło jego dotychczasowe rekordy. Uznał sam, że jest zdecydowanym pechowcem. Zapewniał, a ja uwierzyłem mu z łatwością, że wszystko, czego dokonał w ciągu całego życia, nadawało się poprostu na szmelc—i że tak już będzie przez całą wieczność. Jednakże, gdyby ktoś go obdarzył odrobiną sympatji... Urwał, patrząc na mnie wyczekująco. Potem dodał, że choć może się to wydać dziwne, nikt jeszcze, ale to nikt dotychczas nie okazał mu takiej sympatji, jak ja właśnie. Zrozumiałem, do czego zmierza, i postanowiłem uwolnić się od niego czem prędzej. Może jestem brutalnym, ale okazać się „jedynym prawdziwym przyjacielem”, zmuszonym wysłuchiwać zwierzeń takiego charłackiego egoisty—było ponad moje siły. Podniosłem się gwałtownie.

— Niech pan się za bardzo nad tem wszystkiem nie rozwodzi—powiedziałem.—Jedyne, co panu teraz pozostaje, to wiać—i to czem prędzej. Niech się pan zbierze do kupy i próbuj!

— Nie mogę!—jęknął.

— Trzeba spróbować

Zaczął więc próbować.

— W jaki sposób?—zapytał Sanderson.

— Robił passy—odparł Clayton.

— Passy?

— Szereg skomplikowanych gestów i pociągnięć rękami. W ten sposób przedostał się do materialnego świata, w ten też sposób chciał powrócić na Tamtą Stronę. Boże święty, ile miałem z tem zachodu!

— Tylko, jak może szereg gestów...—zacząłem.

— Mój drogi panie—rzekł Clayton, odwracając się do mnie i wymawiając niektóre słowa ze szczególnym naciskiem — pan chciałby *wszystko* zrozumieć. Alboż ja mam pojęcie, *jak może* szereg gestów... i tak dalej? Tyle wiem, co i pan, tyleż, co i on sam—prawdopodobnie. Po nieskończeniu długich próbach, zrobił jakiś ruch właściwy i nagle znikł.

— Czy pan—zapytał powoli Sanderson—zaobserwował dobrze te ruchy?

— Tak—rzekł Clayton w zamyśleniu.—Było to niesłychanie dziwne. Pośród uspionego miasta, w pustym budynku, w cichym pokoju — ja i ten mętny duch. Nigdzie dźwięku, słychać tylko nasze głosy i lekkie sapanie gestykulującego upiora. Na stoliku nocnym i na tualecie paliły się świece — czasem któraś rozbłyskała długim cienkim, jakby zdziwionym płomieniem. A niezwykła sytuacja trwała.

— Nie mogę...—powtarzał.—Nigdy nie potrafię...

Usiadł nagle na krześle w nogach łóżka i począł zanosić się od płaczu. Boże! cóż za płacziwe, nużące stworzenie!

— No, no, spokojnie —powiedziałem, chcąc go poklepać po ramieniu, ale... moja przeklęta ręka przeszła przez niego nawskroś. Wtedy już nie byłem tak ościężały, jak wtedy, kiedymgo spotkał na schodach. Rozumiałem dziwność zdarzenia w całej rozciągłości. Pamiętam, że wyciągnąłem z niego rękę, zadrzałem i podszedłem do stołu.

— Odważy, trzeba jeszcze próbować—powiedziałem.

I żeby go zachęcić, począłem i ja robić próby.

— Jakto?—zakrzyknął Sanderson—passy?

— A tak—passy.

— Ależ...—zacząłem, ale w tejże chwili zapomniałem, o czem chciałem mówić.

— To bardzo ciekawe—zawołał Sanderson, przyciskając palcem tytoń w fajce. — Pan powiada, że ten duch odsłonił panu tajemnicę...

— Robił, co mógł, aby mi odsłonić sposób przebycia owej przeklętej granicy. Tak.

— Niemożliwe!—zawołał Wish.—Nie mógł tego zrobić. Inaczej panby zniknął razem z nim.

— O właśnie — dodałem, przypominając sobie, że to właśnie chciałem powiedzieć.

— Ależ *właśnie, właśnie*—rzekł Clayton, patrząc w zamyśleniu na ogień.

Przez chwilę panowała cisza.

— Udało mu się wreszcie? — zapytał Sanderson.

— Tak. Dużo mnie to kosztowało wysiłku, ale wreszcie dopiął swego — dość gwałtownie. Stracił już nadzieję, zrobiłem mu scenę. Wstał więc z determinacją i poprosił, abym przerobił powoli przed nim wszystkie ruchy.

— Spodziewam się, że patrząc, będę mógł się zorientować, co jest właściwie nie w porządku.

Tak też się stało.

— Wiem!—Zawołał nagle.

— Co pan wie?

— Wiem już, wiem—powtarzał.

A potem dodał z niezadowoleniem:

— Niech pan nie patrzy na mnie; tak, to ja nie mogę. Właściwie od początku pański wzrok mi przeszkadzał. Jestem tak nerwowy i pan mnie onieśmiela.

Trochęśmy się pokłócili. Ja, naturalnie, chciałem patrzeć, ale on upierał się, jak kozioł. Czuję się bardzo zmęczony—taki gość może wyczerpać—więc wkońcu uległem.

— Dobrze już, dobrze—powiedziałem—nie będę patrzył.

☞ To mówiąc, odwróciłem się w stronę lustra, wiszącego nad tualetą.

Duch począł gestykulować z ogromną szybkością. Śledziłem bacznie jego ruchy w lustrze, usiłując dojrzeć gest, którego zapomniał uprzednio. Obracał rękami i dłońmi, tak, tak i tak i wreszcie pośpiesznie wykonał gest osłatni—stał wyprostowany i rozwarł ramiona—tak stał przez chwilę, I nagle znikł. Znikł. Odwróciłem się od lustra. Ani żywej duszy! Byłem sam, wzburzony do żywego, świece migąły. Co się stało? I czy się wogóle coś stało? Czy wszystko mi się śniło? I wtem, jakby chcąc zakończyć dziwne zdarzenie, zegar na schodach wybił pierwszą. Poprostu, tak... ping! Byłem poważny i trzeźwy, jak sędzia; cała wódka i szampan wywierzały mi już dawno z głowy. Czujęm się dziwnie, rozumiecie—bardzo dziwnie. Boże święty!

Patrzył przez chwilę na popiół cygara.

— To wszystko.

— A potem położył się pan do łóżka?—zapytał Evans.

— Cóż miałem lepszego do roboty?—Spojrzałem na Wish'a. Mieliliśmy ochotę pożartować, ale było coś w głosie i zachowaniu Claytona, co nas powstrzymało.

— A te passy?—zapytał Sanderson.

— Zdaje się, że potrafiłbym je wykonać i teraz.

— Ach!—zawołał Sanderson i wyjąwszy scyzoryk, począł wskrobywać wnętrze fajki.—Dlaczegożby pan nie miał nam pokazać?—dodał, zamykając z trzaskiem scyzoryk.

— Właśnie mam zamiar to zrobić—rzekł Clayton.

- Ależ, to się panu nie uda!—zawołał Evans.
- Ale jeżeli...—zauważyłem.
- Wie pan co, niech pan lepiej nie próbuje—powiedział Wish, wyciągając nogi.
- Dlaczego?—spytał Evans.
- Lepiej nie próbować—powtórzył Wish.
- Niekoniecznie musi robić wszystko po porządku—zauważył Sanderson, pakując wielką szczyptę tytoniu do fajki.
- W każdym razie, lepiej nie zaczynać—rzekł Wish.

Posprzeczailiśmy się z Wish'em. Twierdził on, że nie można robić szopki z czegoś, co dla Claytona było poważnem przeżyciem.

— Ależ pan przecie nie wierzy...? — powiedziałem.

Wish spojrział na Claytona, który patrzył uparcie w ogień, jakby ważąc się z myślami.

— Wierzę... więcej, niż połowie. Wszystkiemu wierzę—odrzekł.

— Panie Clayton — powiedziałem — pan umie świetnie zmyślać. Pańska historia jest doskonale zrobiona. Nawet to zniknięcie ducha—bardzo przekonujące. Niech pan powie, wszystko to jest bajka, prawda?

Clayton wstał, nie zwracając uwagi na moje słowa, i stanął wprost mnie, na środku dywanu. Przez chwilę patrzył w zamyśleniu na swe stopy, a potem utkwiał wzrok w przeciwległej ścianie, z wyrazem napięcia. Podniósł powoli obie ręce na wysokość oczu i rozpoczął...

Otóż, Sanderson jest masonem, członkiem Łoży Czterech Królów, która poświęca się studjum nad dawnymi i obecnymi tajemnicami Masonerii; a pośród członków owej Łoży, Sanderson nie jest ostat-

ni. Patrzył na ruchy Claytona z ogromnem zaciekawieniem.

— Niezłe — niezłe — zawołał, kiedy ten skończył. — Doskonale pan to robi, panie Clayton. Brakuje tylko jednego szczegółu.

— Wiem — rzekł Clayton. — Mogę nawet panu powiedzieć — jakiego.

— No?

— Tego — odparł Clayton, skręcając i wyrzucając naprzód dłoń.

— Tak.

— Właśnie tego ruchu on zapomniał. Ale jakim sposobem pan...?

— Nie rozumiem większej części pańskiej historii, a głównie, skąd ośia przyszła panu do głowy — odrzekł Sanderson. — Ale te ruchy — znam. — Zamyslił się. — Jest to serja gestów, związanych z jedną z gałęzi Eroteryecznej Masonerji... Najwidoczniej pan je znał... Bo inaczej — jak? Zastanowił się znowu.

— Sądzę, że mogę panu pokazać właściwy sposób wykonania tego ruchu. Ostatecznie, jeżeli pan potrafi, to dobrze, a nie, to jeszcze lepiej.

— Umiem tylko tyle, ile mnie nauczył mój duch — zapewnił Clayton.

— Otóż, rzecz się przedstawia tak — rzekł Sanderson, kładąc ostrożnie fajkę na kominku. Poczem wykonał kilka szybkich ruchów rękami.

— Tak? — zapytał Clayton, naśladując go.

— Tak właśnie — odrzekł Sanderson, biorąc zpowrotem fajkę.

— No, teraz będę mógł przerobić poprawnie całą serję — rzekł Clayton.

Stanął przed gasnącym ogniem i uśmiechnął się do nas; dojrzałem jednak pewne wahanie w tym uśmiechu.

— Jeżeli zacznę...

— Niech pan nie zaczyna—rzekł Wish.

— Ależ, dlaczego?! — zawołał Evans. — Materja jest niezniszczalna. Nie myślicie chyba, że te wszystkie hokus-pokus przesiedlą Claytona do krainy cieniów. Ależ! Niech pan próbuje, panie Clayton, aż się panu nie poobrywają ręce.

— Nie zgadzam się! — zawołał Wish, wstając i kładąc rękę na ramieniu Claytona. — Wierzę w pańską historję i nie chcę, żeby pan robił te sztuki.

— Patrzcie—zawołałem—Wish ma pietra!

— Tak, to prawda—odparł Wish z udaną czy prawdziwą powagą. — Jestem pewien, że jeżeli Clayton wykona te wszystkie ruchy, to—zniknie.

— Nigdy w życiu! — zawołałem. — Jest tylko jeden sposób zejścia z tego świata, a Clayton ma przed sobą najmniej trzydzieści lat życia. Pomyślcie tylko! Coby z niego był za duch!

Wish przerwał mi gwałtownym gestem. Począł chodzić szybko pomiędzy krzesłami i wreszcie stanął przy stole.

— Clayton—zawołał—jesteś szalony!

Clayton, z wesołym płomykiem w oczach, uśmiechnął się do niego.

— Wish ma rację—powiedział—a wy wszyscy jesteście w błędzie. Ale spróbuj! Przerobię wszystkie passy do końca, a kiedy uczynię ostatni—raz, dwa, trzy—dywan okaże się pusty, w pokoju zapanuje zdumienie, a przyzwolicie ubrany jego—mość, wagi dziewięćdziesięciu kilo, wpadnie z łoskotem do krainy cieniów. Jestem tego pewny. Dość dyskusyj. Zaczynamy doświadczenie!

— Nie! — zawołał Wish, postępując krok naprzód, ale Clayton podniósł ręce i począł wykonywać tajemnicze ruchy.

Znajdowaliśmy się wszyscy w stanie ogromnego napięcia—być może przyczynił się do tego Wish.

Siedzieliśmy wkoło, utkwivszy wzrok w Claytonie —ja, przynajmniej, dziwnie sztywno, jakby ciało moje od karku do krzyża zmieniło się w sztabę żelazną. Tymczasem Clayton z powagą i —pogoda nachylał się, kołysał, potrząsał rękami i dłońmi. Kiedy zbliżył się do końca, zaszczękały mi zęby. Ostatni ruch, jakim to już powiedział, polegał na rozwarciu ramion i przechyleniu wtył głowy. Kiedy doszedł do tego gestu, przestałem oddychać. Było to śmieszne, prawda, ale wiecie dobrze, jakie wrażenie sprawiają historie o duchach. Działo się wszystko po kolacji, w dziwnym, starym, mrocznym domu. Czy naprawdę...?

Clayton stał przez chwilę z rozwartymi ramionami i podniesioną głową, pewny siebie i uśmiechnięty w świetle lampy. Chwila ta zdawała się trwać wieczność, aż nagle z piersi naszych wydarło się westchnienie ulgi i radości: — „Nie!” — Gdyż Clayton, jak to było oczywiste, nie zniknął. Wszystko to były głupstwa. Opowiedział poprostu fantastyczną historję i trzymał nas w napięciu przez pewien czas. To wszystko.

Lecz nagle twarz Clayтона poczęła się mienić. Mieniała się. Mieniała się, jak dom, kiedy poczną w nim nagle gasić światła. Oczy jego nagle znie-ruchomiały, uśmiech zastygł na wargach. Stał jeszcze chwilę, kołysząc się zlekka.

I chwila ta trwała wieczność. A potem, rozumiecie, krzesła poprzewracały się z łoskotem, wszyscyśmy zerwali się z miejsc. Claytonowi ugięły się kolana, upadł, jak długi, a Evans pochwycił go w ramiona.

Zdrętwieliśmy. Nie znajdowaliśmy słów. Nie wierzyliśmy własnym oczom... Kiedym przyszedł nieco do siebie, klęczałem koło Clayтона. Sander-



son rozpiął mu kamizelkę i koszulę i kładł rękę na sercu.

Tak—nie było się co śpieszyć; prosty fakt, któryśmy mieli przed oczyma, mógł poczekać na wytłumaczenie. Trup Claytona leżał godzinę wśród nas, leży i teraz w mej pamięci, jak czarny, straszliwy cień. Clayton przeszedł granicę, tak bliską i tak odległą, przeszedł ją w jedyny sposób, jaki jest dostępny człowiekowi. Ale czy stało się to przy pomocy zaklęć biednego widma, czy poprostu zabiła go apopleksja—jak to ustaliło śledztwo—nie wiem. Jeszcze jedna zagadka, której nie wyjaśni się prędzej, aż znajdziemy ostateczne rozwiązanie tajemnicy. Wiem tyle tylko, że we właściwym momencie, we właściwej chwili, wykonując ostatni ruch, Clayton zmienił się, zachwiał i padł przed nami — nieżywy.

## CZŁOWIEK, KTÓRY ROBIŁ CUDA

Pantoum proza

Niewiadomo, czy dar ten był mu wrodzony. Mojem zdaniem, naszedł on go niespodzianie. Bo przecież do trzydziestego roku życia był sceptykiem i nie wierzył w siły nadprzyrodzone. Ale nim przystąpię do rzeczy, zaznaczę na wstępie, ponieważ już tak jest przyjęte, że był to mały człowieczek, o piwnych oczach, włosach rudych, bardzo szceciastych, wąsach, zakręconych do góry, i piegowatej twarzy. Nazywał się George Mac Whirter Fotheringay — nazwisko, nie nasuwające żadnej myśli o cudach — i był urzędnikiem w Gomshott.

Miał on wielką skłonność do kategorycznych twierdzeń. I właśnie, kiedy z największym ferworem dowodził niemożliwości cudów, po raz pierwszy zeszło nań objawienie jego własnych w tej dziedzinie zdolności. Dyskusja odbywała się w barze „Pod długim smokiem”, a Toddy Beamish reprezentował opozycję, powtarzając monotonna, lecz znacząco:

— Tak pan sądzi?

Co wyprowadzało mistra Fotheringay'a z równowagi.

W barze, poza nimi dwoma, znajdowali się jeszcze: straszliwie zakurzony cyklista, właściciel

baru—Cox, oraz miss Maybridge, wielce szacowna i wielce zażywna kelnerka. Miss Maybridge myła szklanki, obrócona tyłem do mistra Fotheringay'a; reszta patrzyła nań, mniej lub więcej ubawiona bezpłodnością jego dowodzeń. Podniecony kunktatorską taktyką mistra Beamish'a, mister Fotheringay zdecydował się na niezwykle zwrot retoryczny:

— Zaraz, zaraz, panie Beamish, należy się najpierw porozumieć, czemu jest cud? Jest to coś sprzecznego z prawami natury, coś, czego się dokonuje tylko Siłą Woli, coś, co się nie stanie, jeżeli się tego specjalnie nie zechce.

— Tak pan sądzi?—zapytał mister Beamish tonem odpornym.

Mister Fotheringay zaapelował do cyklisty, który dotychczas ograniczał się do roli biernego słuchacza, i uzyskał jego zgodę — co prawda, po krótkim wahaniu i spojrzeniu w stronę mistra Beamish'a. Właściciel baru wolał nie wypowiadać się w tej kwestji. Mister Fotheringay, zwróciwszy się ponownie w stronę Beamish'a, uzyskał odeń niespodziewaną zgodę na swoją definicję cudu.

— A więc—powiedział mister Fotheringay, nabrawszy otuchy — cóż będzie cudem? Naprzykład: lampa w zwykłym biegu rzeczy nie może się palić płomieniem wdół. Prawda, panie Beamish?

— Pan tak sądzi? — odrzekł Beamish.

— No, dobrze, ale pan?—zawołał mister Fotheringay. — Jak pan sądzi, co?

— No, nie—przyznał Beamish niechętnie. — Nie może się tak palić.

— Doskonale!—rzekł mister Fotheringay. — A teraz wyobraźmy sobie, że ktoś, powiedzmy—ja, podchodzi bliżej, staje, jak ja w tej chwili, i powiada, nateżając całą siłą woli: — „Obróć się do góry nogami, nie stłucz się i pal się dalej!” — i... Co to?

Powody były dostateczne, aby tak zawołać: — „Co to?!” — Stała się rzecz niemożliwa, niewiarogodna. Lampa zawisała do góry nogami w powietrzu z płomieniem, skierowanym wdół, paląc się spokojnie. Było to tak pewne, tak niewątpliwe, jak samo istnienie tej lampy — prozaicznej, zwykłej lampy z baru „Pod długim smokiem”.

Mister Fotheringay stał z wyciągniętym palcem i zmarszczonymi brwiami, w nieruchomym oczekiwaniu katastrofy i trzasku tłukącego się szkła. Cyklista, siedzący w pobliżu lampy, skulił się i odskoczył w bok. Każdy z obecnych podskoczył, mniej lub więcej. Miss Maybridge obejrzała się i jęknęła. W ciągu trzech sekund lampa tkwiła nieruchomo. Stąpy krzyk rozpaczy wydobył się z ust mistra Fotheringay'a.

— Nie zniosę tego dłużej! — zawołał. Cofnął się, a przewrócona lampa zamigotała, spadła na brzeg lady sklepowej, odskoczyła, rozbiła się w kawałki na podłodze i zgasła.

Szczęśliwie, rezerwuar był metalowy, inaczej wszystko stanęłoby w płomieniach.

Pierwszym przemówił mister Cox, a jego opinia, najeżona przykreimi uwagami, głosiła, że Fotheringay jest warjatem.

Fotheringay nie podjął dysputy nawet w tak kapitalnym przedmiocie. Był zaskoczony ponad wszelką miarę niesłychanym wydarzeniem. Dyskusja, która się potem wywiązała, nie przelała absolutnie światła na czynność Fotheringay'a; opinia ogólna poparła zdanie mistra Coxa, jednogłośnie i gwałtownie. Oskarżono Fotheringay'a o głupie kawały i usiłowano mu wmówić, że dla dziecinnej zabawki nie waha się narazić na szwank ogólnej wygody i bezpieczeństwa. W głowie biedaka był zamęt: zgadzał się ze wszystkimi i próbował stawić

bezpłodny opór, gdy mu zaproponowano opuszczenie lokalu.

Wracał do domu, purpurowy i zadyszany, w zmiotczonym kołnierzyku. Paliły go uszy, bolały oczy. Spoglądał nerwowo i podejrzliwie na każdą uliczną latarnię. Dopiero, kiedy się znalazł w swojej małej sypialni na Churd Row, zebrał do kupy wspomnienia i zapytał sam siebie poważnie:

— Co się właściwie stało?

Zrzucił marynarkę i buty, poczem usiadł na łóżku z rękoma w kieszeniach, powtarzając po raz siedemnasty:

— Ależ ja nie chciałem przewrócić tej przekłetej lampy.

I nagle, przyszło mu na myśl, że przecież wówczas, kiedy wydawał rozkaz lampie, skupił bezwiednie całą wolę i chcenie, a później, gdy już lampa wisiała płomieniem wdół, czuł wyraźnie, że od niego zależy utrzymać ją w powietrzu, choć nie wiedział dobrze, w jaki sposób. Mister Fotheringay nie był obdarzony nazbyt dociekającym umysłem, inaczej wdałby się w rozważanie zagadnień, dotyczących „bezwiednej woli”, a sięgających najbardziej abstrakcyjnych problemów woli i czynu. Panu Fotheringay jednak cała sprawa przedstawiła się z uspokajającą mglistością. I dlatego, nie wychodząc z żadnych logicznych przesłanek, sięgnął po świadectwo eksperymentu.

Wyciągnął z determinacją palec w stronę świecy i skupił się, choć czuł, że robi głupstwo:

— Podnieś się! — powiedział.

Wszystkie jego wątpliwości rozwiąły się odrazu. Świeca uniosła się i zawisła w powietrzu na przeciąg chwil paru, a kiedy mister Fotheringay odczchnął, opadła z trzaskiem na tualetę, zostawiając

go w ciemnościach, nie rozjaśnionych nawet słabem żarzeniem się gasnącego knota.

Przez chwilę mister Fotheringay siedział w ciemnościach nieruchomo.

...Niema gadania, stało się — pomyślał. — Ale, jak to wytłumaczyć, nie mam pojęcia.

Westchnął posępnie i począł szukać zapalek w kieszeniach. Nie znalazł ani jednej, więc, pomacawszy jeszcze bezskutecznie blat stolika, pomyślał:

...Debrzeby było mieć zapalkę.

Poszukawszy jeszcze w marynarce i nic nie znalazłszy, wpadł na myśl, że cuda są możliwe nawet z zapalkami, więc powiedział:

...Niech będzie w mojej ręce zapalka!

I odrazu poczuł lekki przedmiot, spadający mu na dłoń, a palce jego pochwyciły żadaną zapalkę.

Nie udawało się jednak jej zapalić; zrozumiał, że była to zapalka fosforowa. Rzucił ją, ale nagle przyszło mu na myśl, że mógłby ją zapalić swoją wolą. Uczynił tak i ujrzał, że zapalka pali się w samym środku serwetki, pokrywającej tualetę. Zgasił ją ze złością. Mister Fotheringay począł coraz szerzej rozumieć własne możliwości, kazał więc natychmiast świecy umieścić się w lichtarzu.

— Tak! A teraz pal się! — powiedział.

Kiedy świeca zapłonęła, w środku serwetki ukazała się czarna, wypalona dziura z wijącą się jeszcze wąską strużką dymu. Przez pewien czas cudotwórca to patrzył na mały płomyk, to rozglądał się dookoła, aż wreszcie zobaczył w zwierciadle swoje własne, wytrzeszczone oczy. Począł więc rozmawiać z sobą w milczeniu.

— Co tam słychać z cudami? — spytał się wreszcie swojego odbicia.

Dalsze rozmyślania mistra Fotheringay'a były mętne, choć nieskomplikowane. Jak mu się zda-

wało, działał wyłącznie samą wolą. Skutki dotychczasowych doświadczeń mogły go raczej zniechęcić do dalszych prób. Nie mógł oprzeć się jednak pokusie: podniósł w powietrze arkusz papieru, kazał wodzie w szklance przybrać kolor najpierw różowy, potem zielony, stworzył ślimaka, którego później czarodziejską siłą unicestwił, i ofiarował sam sobie wspaniałą szczoteczkę do zębów. Po godzinie przyszedł do wniosku, że jego siła woli musi być szczególnie intensywną i rzadką, fakt, który był skłonny uznać i poprzednio, ale nie bez pewnego wahania. Przestrasch i zdumienie, towarzyszące pierwszej próbie, zamieniły się teraz na dumę i niejasne jeszcze poczucie wyższości. Usłyszał nagle, że zegar kościelny wybił pierwszą, a ponieważ nie przyszło mu jeszcze na myśl, że mógłby się w cudowny sposób zwolnić ze swych obowiązków w Gomshott, postanowił rozebrać się i położyć niezwłocznie do łóżka.

Kiedy walczył z koszulą, która nie chciała za nic przejść mu przez głowę, uderzyła go niespodziewanie świetna myśl.

— Chcę być w łóżku — powiedział.

Tak też się stało.

Rozebrany, poprawił się, a że prześcieradła były chłodne, dodał gniewnie:

— I w nocnej koszuli... nie, w nowej, miękkiej, wełnianej koszuli. Ach! — zawołał z najwyższą radością. — A teraz chcę prędko zasnąć...

Obudził się o zwykłej porze i rozmyślał cały czas, jedząc śniadanie. Ważył, czy wczorajsza przygoda nie jest tylko niezwykle jaskrawym snem. Postanowił znów poczynić parę ostrożnych prób. Zafundował więc sobie trzy jajka na śniadanie: dwa przygotowała uprzednio gospodyni, niezłe, ale wapienne, zato trzecie zjawilo się nagle na jego

specjalne żądanie — pyszne, gotowane gęsie jaje. Mister Fotheringay pojechał do Gomshott w stanie głębokiego, utajonego podniecenia. Cały dzień nie mógł pracować, gdyż świadomość własnej siły wytrącała go z równowagi; nie pociągnęło to za sobą żadnych przykrych konsekwencji, gdyż wykonał cudownie całą robotę w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Z upływem dnia stan jego umysłu skłaniał się coraz bardziej od zdumienia do ogromnej pychy, chociaż niebardzo przyjemnie było wspominać szczegóły opuszczenia baru „Pod długim smokiem”, tem bardziej, że kolorowane nieco relacje kolegów mogły dać powód do pewnych plotek. Niewątpliwie, należało być ostrożnym, gdy się miało do czynienia z przedmiotami kruchemi, jedynakże nowoodkryty talent rokował Fotheringay'owi nowe i coraz to wspanialsze możliwości. Między innymi, zamierzył powiększyć swój stan posiadania przy pomocy paru dyskretnych cudów. Powołał więc niezwłocznie do życia parę przepysznych spiniek diamentowych i uniecestwił je pośpiesznie, gdy młody Gomshott wszedł do kantoru i usiadł przy swem biurku. Cudotwórca przelakł się, że młody pryncypał zapyta, skąd je wziął. Rozumiał dobrze, że tak niezwykle dar wymaga ostrożności i nieustannego baczenia, ale nie przypuszczał, aby niebezpieczeństwa mogły być większe, niż ongiś w wiodromie, gdy chciał zostać cyklistą. Zapewne owa analogja, zarówno, jak przeświadczenie, że nie będzie mile widziany „Pod długim smokiem”, wygnały go po kolacji w wąską uliczkę za gazownią, gdzie postanowił przerobić sobie w spokoju kilka cudów.

Cuda mistra Fotheringay'a nie odznaczały się oryginalnością, albowiem poza niezwykle swoim darem, nie był on nadmiernie wybitnym człowie-



kiem. Przypomniął mu się cud Mojżesza, ten z laską, ale noc była ciemna i nie sprzyjałaby kontrowaniu cudownych węży.

Potem przyszła mu na myśl historia Tanhäusera, którą niegdyś przeczytał w programie „Filharmonji”. Wydała mu się niezwykle pociągająca i nieszkodliwa. Wetknął więc laskę swoją w trawnik i rozkazał zakwitnąć suchemu drzewu. Powietrze napełniło się zapachem róż i mister Fotheringay, zapaliwszy zapalną, mógł sam stwierdzić, że cud spełnił się, co do joty. Odgłos zbliżających się kroków położył kres jego satysfakcji. Przerażony możliwością przedczesnego ukazania światu swoich talentów, mister Fotheringay zawołał z niecierpliwością:

— Wróć!

Co miało znaczyć:

— Zniknij!

Laska cofnęła się z wielką szybkością, a jednocześnie rozległ się okrzyk gniewu i wymysły nadchodzącej osoby.

— Będziesz się ciskał cierniami, stary warjacie?  
— zawołał głos — trafiło mnie w nogę!

— Bardzo mi przykro, mój staruszkule — odrzekł mister Fotheringay i spodziewając się przykrych wyjaśnień, począł nerwowo targać wąsa. Nie było mu też wcale przyjemnie, kiedy ujrzał zbliżającego się Winch'a, jednego z trzech policjantów sławetnego miasta Immening.

— Czego się pan rozbija? — zapytał posterunkowy. — Co jest? Ah, jesteśmy w domu! To gość, który potłukł lampę „Pod długim smokiem”.

— Wcale się nie rozbijam — odrzekł mister Fotheringay.

— Dlaczegoś pan to zrobił?

— Zawracanie głowy!

— Tak, zawracanie! Toś pan nie pomyślał, że kij może uderzyć? Pocóż pan to zrobił?

Przez chwilę mister Fotheringay nie umiał odpowiedzieć, poco to robił. Milczenie jego rozgniewało mistra Winch'a.

— Pan stawia opór władzy w ten sposób! Tak, panie, to jest opór władzy!

— Ależ, panie Winch — tłumaczył się mister Fotheringay, zmieszany i zawstydzony. — Bardzo mi przykro. Ale chodzi o to...

— No?

Nie widział innego wyjścia, nad prawdę.

— Poprostu zrobiłem cud.

Chciał mówić otwarcie, ale mu przerwano:

— Zrobił pan... Co mi pan zawraca kontrafaktę. Cud zrobił, patrzcie go! Nie, końby się uśmieł! I ten tu nam opowiadał, że nie wierzy w cuda. A najzwyczajniej, to jest znowu jedna z pańskich głupich magicznych sztuczek. A teraz ja panu powiem....

Ale mister Fotheringay nigdy już nie usłyszał, co mister Winch chciał mu powiedzieć. Zrozumiał, że dał się ludziom w ręce, że rzucił swój sekret na cztery wiatry. Gwałtowny poryw gniewu popchnął go do czynu. Szybkim, dzikim ruchem zwrócił się do policjanta.

— Mam dosyć tego! — zawołał — dosyć! Ja ci pokażę głupie magiczne sztuczki! Idź do djabła! Rozumiesz!

I policjant znikł.

Mr. Fotheringay nie dokonał tej nocy żadnych nowych cudów, ani nie zatroszczył się nawet, co się stało z jego kwitnącą laską. Powrócił do miasta przestraszony trochę, ale spokojny, a kiedy znalazł się w swojej sypialni, powiedział:

— Boże święty, to jest wielka siła — bardzo

wielka siła! Nawet nie wiedziałem, że do tego stopnia. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Ciekaw jestem, jaki jest ten djabeł?

Usiadł na łóżku, zdejmując buty. Pod natchnieniem szczęśliwej myśli przeniósł policjanta do San Francisco i nie wtrącając się więcej do niczego, normalnym sposobem, skromnie, położył się do łóżka. W nocy śniła mu się bezsilna wściekłość Winch'a

Następnego dnia, mister Fotheringay usłyszał dwie interesujące nowiny. Ktoś zasadził wspaniałą pnącą różę koło domu starszego mistra Gomshott przy Lullaborongh Road, a na rzece, aż do Kawling's Mill zarzucano sieci, aby wyłowić ciało mistra Winch'a.

Mister Fotheringay był tego dnia roztargniony i zamyślony. Nie dokonał też żadnego cudu, jeżeli nie liczyć zaopatrzenia Winch'a w żywność i faktu, że wypełnił skrupulatnie swoją całodzienną pracę, pomimo nawału myśli, które brzęczały mu w uszach, jak pszczoły. Jednakże zauważono jego niezwykle roztargnienie i brak uwagi; posypały się docinki. Przez cały prawie czas mister Fotheringay myślał o Winch'u.

W niedzielę wieczorem poszedł do kościoła i zdarzyło się dziwnym trafem, że pastor mister Maydig, interesujący się do pewnego stopnia okultystycznymi sprawami, miał kazanie właśnie o „rzeczach, nie podlegających prawom”. Mister Fotheringay nie uczęszczał regularnie do kościoła, ale jego apodyktyczny sceptycyzm zachwiał się teraz bardzo znacznie. Kazanie przelało nowe światło na jego własny, niezwykle dar, więc też postanowił poradzić się z mistrem Maydigem zaraz po nabożeństwie. Powziąwszy to postanowienie, zdziwił się, czemu nie pomyślał o nim wcześniej. Pastor był chuderlawym, porywczym człowiekiem,

o niezwykle długich rękach i szyi. Pochlebiła mu chęć rozmowy ze strony człowieka, którego obojętność religijna znana była w całym mieście. Zamieniwszy kilka słów, zaprowadził gościa do zakrystji, usadowił go wygodnie, a sam, stanąwszy przed kominkiem, na którym trzaskał wesoło ogień — cień jego nóg widniał na ścianie conajmniej, jak arka nóg olbrzyma z Khodos — zapytał mistra Fotheringay'a, co go sprowadza.

Z początku gość był nieco zmieszany i nie znajdował słów dla wyłożenia celu swego przybycia.

— Niech mi pan wierzy, panie Maydig, sam jestem przerażony... — i tak dalej, w tym sensie.

Zdecydował się wreszcie i zapytał mistra Maydiga, co myśli o cudach.

Mister Maydig powiedział:

— Cóż?! — z rozważą, ale mister Fotheringay przerwał:

— Przypuszczam, że panby nigdy nie wierzył, że jakiś zwykły człowiek — powiedzmy, ja — siedzący sobie, oł, naprzykład, w tym pokoju, posiada taki jakiś sposób, że może robić samą tylko wolą, co zapragnie.

— Możliwe — rzekł mister Maydig. — Coś w tym rodzaju jest możliwe.

— Jeżeli pan na to pozwoli — dodał mister Fotheringay, mógłbym tutaj zrobić mały eksperyment. Pan będzie łaskaw postawić tę skrzynkę z tytoniem na stole. Chciałbym wiedzieć, czy to, co uczynię za chwilę, jest cudem, czy nie. Chwileczka, panie Maydig.

Zmarszczył brwi, wskazał skrzynkę palcem i powiedział:

— Stań się wazonikiem fiołków!

I skrzynka tytoniu usłuchała natychmiast.

Mister Maydig wzdrygnął się i patrzył naprze-

mian to na cudotwórcę, to na kwiaty. Milczał. Wreszcie pochylił się nad słołem i powąchał fiołki: były świeżo zerwane i bardzo piękne. Pastor utkwiał wzrok w mistrze Fotheringay'u.

— Jak pan to zrobił?

Cudotwórca szarpnął wąsa.

— Właśnie o tem mówiłem i pan był świadkiem. Czy to jest cud, czy czarna magia, czy co u licha? I co pan myśli o mnie? Właśnie o to przyszedłem zapytać.

— Jest to poprostu niesłychane!

— Tegoż dnia w zeszłym tygodniu nie miałem jeszcze pojęcia, że jestem do czegoś podobnego zdolny. Przyszło to zupełnie niespodzianie. Dzieją się dziwne rzeczy z moją wola, jak mi się zdaje, i to jest wszystko, co mogę powiedzieć.

— Czy pan tylko to potrafi uczynić? Czy i inne rzeczy także?

— Ależ, tak—rzekł mister Fotheringay. — Właściwie — wszystko.

Zamyślił się i przypomniał sobie nagle jedną ze sztuk magicznych, które niegdyś widział.

— Choćby to! — wyciągnął palec. — Zmień się w wazon z rybami, nie, nie! lepiej w—szklane akwarjum ze złotemi rybkami. Tak będzie lepiej! Widzi pan, panie Maydig?

— Zdumiewające! Niesłychane! Pan jest poprostu zadziwiający. Ale...

— Mogę to akwarjum zamienić na wszystko inne. Na wszystko w świecie. Chociażby w gołębia. Stań się gołębiem!

W tej samej chwili siwy gołąb fruwał po pokoju i uciekał przed panem Maydig, ilekroć ten chciał podejść bliżej.

— Zatrzymaj się! — zawołał mister Fotheringay — i gołąb zawisł nieruchomo w powietrzu. — Mogę

go zmienić zpowrotem na wazon z kwiatami — poczem, ustawivszy gołębia na stole, dokonał tego cudu. — Zdaje mi się, że pan za chwilę zechce zapalić fajeczkę — dodał i przywrócił skrzynkę z tytoniem.

Mister Maydig przyglądał się tym operacjom z jakimś wybuchowem milczeniem. Spojrzał na mistrza Fotheringay'a, poczem bardzo ostrożnie sięgnął po skrzynkę, obejrzał ją i postawił znów na stole. Wyraził swoje uczucia jednym tylko słowem:

— Tak!

— No, a teraz łatwiej mi będzie objaśnić, poco tu przyszedłem — rzekł mister Fotheringay i wdał się w długie, zawikłane opowiadanie o swych dziwnych przygodach, poczynając od lampy z „Pod długiego smoka” i napomykając zlekka o Winch'u. Konsternacja pana Maydiga wprawiła go w chwilową dumę, ale wkrótce stał się znowu zwykłym, codziennym mistrem Fotheringay'em. Pastor słuchał uważnie, trzymając pudełko z tytoniem w rękę, a jego zachowanie zmieniało się w miarę, jak postępowała opowieść. Kiedy gość począł opisywać zjawienie się trzeciego jajka, mister Maydig przerwał, machając ręką:

— To jest możliwe! — zawołał — Wierzę, wierzę! Zdumiewające, niewątpliwie, ale nie niemożliwe. Moc robienia cudów jest darem — szczególną właściwością, jak geniusz albo jasnowidzenie — który bywa udziałem tylko ludzi wyjątkowych i to rzadko. Ale w tym wypadku... Zachwycąłem się zawsze cudami Mahometa i cudami Yogów, i pani Bławackiej. Tak, to jest poprostu pewien dar. Bardzo ciekawe myśli wypowiedział w tym względzie wielki myśliciel — głos pana Maydiga zniżył się — Jego Łaskawość Książdz Argyll. Tutaj natykamy się na

tajemnicze prawa, głębsze, niż zwykłe prawa natury. Tak, tak. Proszę, niech pan mówi dalej, proszę.

Mister Fotheringay począł opowiadać swoją przygodę z Winch'em, a mister Maydig, już bez przerażenia i lęku, począł przytupywać nogami, wykrzykując ze zdziwienia.

— To mnie właśnie najbardziej niepokoi — zaznaczył mister Fotheringay — i właśnie w tej sprawie chciałbym zasięgnąć pańskiego zdania; policjant znajduje się niewątpliwie w San Francisco — gdziekolwiek może być to San Francisco — ale jest na pewno strasznie zakłopotany. Przecież on nigdy nie zrozumie, co się z nim stało. Założę się, że jest przerażony, zrozpaczony i chce mi odpłacić. Założę się, że robi wszystko, aby tu powrócić. Myślę o nim co parę godzin i odsyłam go wtedy zpowrotem przy pomocy cudu. A tego, to już on na pewno za nic nie zrozumie i jest mu ogromnie przykro; po za tem, na pewno za każdym razem kupuje bilet i wydaje moc pieniędzy. Robię, co tylko mogę dla niego, ale jemu na pewno trudno będzie postawić się w mojem położeniu. Myślę po za tem, że ubranie musi mieć zniszczone — rozumie pan: jeżeli piekło jest takie, jak się przypuszcza. Mogli go z tego powodu wsadzić do kozy w San Francisco. Zresztą już mu sprawiłem nowy garnitur. Widzi pan, jak się djabelnie uwikłałem.

Mister Maydig spojrział z powagą:

— Widzę, że się pan uwikłał. Tak, to trudna sprawa. Kiedy pan z tem skończy... — Urwał z niepewnością i wahaniem.

— Zostawmy na chwilę Winch'a i zastanówmy się nad meritum sprawy. Nie sądzę, że to jest czarna magia, ani coś w tym rodzaju! Nie przypuszczam, żeby cudotwórstwo miało jakiegokolwiek cechy przestępstwa, panie Fotheringay — chyba, że pan ukrył

jakieś fakty. Niel to są cuda — prawdziwe cuda — cuda — jeżeli można tak powiedzieć — najwyższego gatunku.

Pastor zerwał się, mierząc długimi krokami chodnik, przeciągnięty wzdłuż pokoju, i gestykułując gwałtownie, a mister Fotheringay oparł ręce na stole, a zatroskaną głowę — na rękach.

— Nie wiem, co zrobić z Winch'em — powtórzył.

— Pańskie zdolności cudotwórcze — odparł mister Maydig — i to zdolności niezwykle potężne znajdują sposób na Winch'a — niema obawy. Drogi panie, jest pan niezwykłym człowiekiem — człowiekiem o nieprzewidywanych możliwościach. Co do tego — niema dwóch zdań. Z drugiej strony, cuda, którychby pan powinien dokonać...

— Tak, już nawet myślałem o jednym czy dwóch. Tylko, że czasem niezupełnie tak wychodzi, jakby należało. Naprzykład, widział pan te ryby, te pierwsze ryby? Marny wazon i marne ryby, a przecież...

— Należy trzymać się prostej drogi — rzekł pastor — prostej drogi... przedewszystkiem prostej drogi.

Zamilkł i spojrzał na mistra Fotheringay'a.

— Pańska moc wydaje się nieograniczoną. Sprawdzimy zaraz rozciągłość tej siły. Jeżeli rzeczywiście... Jeżeli doprawdy okaże się tem, czem wydaje się być...

Tak więc, choć może to wygląda nieprawdopodobnie, w gabinecie plebanji, należącej do kaplicy kongregacyjnej, wieczorem, w niedzielę, dnia 10 listopada 1896 roku, mister Fotheringay za natchnieniem i podniętą mistra Maydiga począł robić cuda. Usilnie zwracamy uwagę czytelnika na datę. Być może, zechce on zaopanować, jeżeli już tego nie uczynił, że niektóre dane w naszym opowiadaniu są nieprawdopodobne, że gdyby coś w tym rodzaju



przytrafiło się rzeczywiście, pisałyby o tem przed rokiem gazety. Szczególnie trudno mu będzie pogodzić się z faktami, które nastąpią za chwilę, gdyż pomiędzy wieloma innymi wątpliwościami, może on (czy ona) zaznaczyć, że gdyby coś podobnego zdarzyło się naprawdę, jużby on (czy ona) zginął (czy zginęła) przed rokiem, w sposób gwałtowny i niezwykły. Otóż cud, o którym będzie mowa, nie jest wcale nieprawdopodobny i czytelnik (czy czytelniczka) istotnie *zginęli* w sposób gwałtowny i niezwykły rok temu. W dalszym ciągu opowiadania okaże się to całkowicie jasne i wiarogodne, a każdy czytelnik przy zdrowych zmysłach z łatwością zgodzi się z nami. Cuda, dokonane dotychczas przez mistra Fotheringay'a, były to małe nieśmiałe cuda — takie sobie drobiazgi z wazonem czy bibelotami, coś w rodzaju naiwnych cudów teozoficznych. A choć tak słabiuchne, przejęły lękiem mistra Fotheringay'a. Chciał on przedewszystkiem skończyć ze sprawą Winch'a, ale pastor nie dopuścił do tego. Kiedy już przerobili z tuzin domowych trywjałości, upoiło ich poczucie mocy, wyobraźnie poczęły prześcigać się wzajemnie, ambicje zaś wzrosły. Pierwsze większe przedsięwzięcie wywołała mistress Minchin, gospodyni pastora, przez właściwą sobie opieszałość i niedbalstwo. Posiłek, którym mister Maydig poczęstował gościa, był mocno nieapetyczny, a co się tyczy napojów — zupełnie niewystarczający dla dwóch pracowitych cudotwórców. Kiedy siedli, pastor wpadł nawet nie w gniew, ale w smutek, rozwodząc się nad oszczędnościami gospodyni, mister Fotheringay poczuł, że nadarza się okazja.

— Niech pan tylko nie pomyśli, panie Maydig — powiedział nieśmiało — że to z mojej strony poufałość, ale...

— Mój drogi panie Fotheringay. Alez skąd! Nic podobnego nie przyszło mi na myśl...

Mister Fotheringay wznosił rękę.

— Co sobie zamówimy?—zapytał z gestem, szerekim i władczym. Postępując w myśl wskazań pastora, zastanowił się gruntownie nad kolacją.

— Jeżeli o mnie chodzi—dodał, przyglądając się wyborowi Maydiga—jestem za kuflem porteru i pieczeni z serem (Welsh rarebit). Zaraz je sobie zamówię. Nie przepadam za burgundem.

Nowi przyjaciele siedzieli długo za stołem, gadając ze sobą, jak równy z równym, o cudach, które należałoby uczynić. Mister Fotheringay był oczarowany i pełen wdzięczności dla pastora.

— A po za tem, panie Maydig, mógłbym może panu być pomocnym w pewnych sprawach domowych.

— Proszę, niech pan o tem nie mówi!—zawołał mister Maydig, wznosząc do góry szklanke cudownie starego burgunda.

Mister Fotheringay nałożył sobie drugą porcję pieczeni i z pełnemi ustami powiedział:

— Miałem na myśli, hm, hm, że możebym mógł, hm, hm, uczynić cud z panią Minchin, żeby... te... stała się dobrą kobietą.

Pastor postawił szklanke i spojrzał z powątpiewaniem:

— Ona... Widzi pan, ona nikomu do niczego nie pozwala się wtrącać. A co się tyczy pańskiej propozycji... Jest po jedenastej, moja gospodyni pewno leży już w łóżku i śpi. Myśli pan, że...

Mister Fotheringay zastanowił się:

— Przypuszczam, że można to zrobić podczas snu.

Pastor oponował przez pewien czas, ale wkońcu ustąpił. Mister Fotheringay wydał odpowiedni

rozkaz, poczem obaj panowie, w stanie zlekka podnieconym, zabrali się znowu do kolacji. Mister Maydig począł rozwodzić się szeroko nad zmianami, których jutro zażąda od gospodyni; przemawiał przytem z optymizmem, który nawet jego goście wydał się nieco pośpieszny i zbyt gorączkowy. Nagle, o piętro wyżej rozległ się stłumiony hałas. Dwaj panowie spojrzeli na się pytająco, poczem pastor wyszedł gniewnie z pokoju. W chwilę później rozległ się jego głos i mister Fotheringay usłyszał kroki, dążące w górę po schodach.

Wrócił po chwili z rozpromienioną twarzą.

— Niesłychane! — wołał — i wzruszające! Ogromnie wzruszające!

Chodził gorączkowo po pokoju.

— Skrucha! Wzruszająca skrucha — wołał przez uchylone drzwi. — Biedna kobieta! Zdumiewająca przemiana! Wstała z łóżka. Zresztą, musiała wstać. Wstała z łóżka, aby stłuc butelkę wódki, którą przechowywała w kuferku. Wyznała wszystko! Ależ taki fakt otwiera przed nami jak najdalsze perspektywy. Jeżeli mogliśmy w niej dokonać takiej przemiany...

— Tak, siła wydaje się nieograniczona — potwierdził mister Fotheringay. — A co się tyczy Winch'a...

— Bezgraniczna! Nieograniczona! — I pastor, stojąc na chodniku i uchylając znów sprawę Winch'a, wyłożył cały szereg niezwykłych projektów — projektów, które wymyślił, chodząc po pokoju.

Wszystkie te zamierzenia nie dotyczą naszego opowiadania. Wystarczy, że zostały one powzięte w duchu jak najbardziej humanitarnym, w duchu nieskończonej pobłażliwości, zasługującej na miano poobiedniej. Wystarczy też, że kwestja Winch'a pozostała nierozwiązaną. Zbyteczne byłoby opo-

wiadać, jak daleko posunęło się wykonanie owych projektów. Dość, że zaszły niestychane wydarzenia. Po małej godzince panowie Maydig i Fotheringay szli przez bezludny plac targowy, w blasku księżycy, bujając na szczytach cudotwórczej ekstazy; mister Maydig—gestykulujący, — o rozwianych polach; mister Fotheringay—krótki, najeżony i nie przerażony już więcej własną wielkością. Głosując we dwóch, zaprowadzili wielką reformę, uszlachetniającą pijaków, zamienili cały alkohol na wodę — w tej sprawie pastor przegłosował mistra Fotheringay'a; dalej, udoskonalili ogromnie komunikację kolejową, przedrenowali flinderskie mokradła; ulepszyli glebę w One Tree Hill i wyleczyli wikarego z brodawki. Potem pobiegli zobaczyć, coby dało się zrobić z tym przeklętym filarem South'ońskiego mostu.

— Jutro żadne z tych miejsc nie będzie dawnym miejscem—westchnął mister Maydig.—Jakże wszyscy będą zdumieni i wdzięczni!

W tej samej chwili zegar kościelny wybił trzecią.

— Zdaje się—powiedział mister Fotheringay— że to trzecia godzina. Muszę wracać do domu. Idę przecież do biura o ósmej. A przytem mister Wimms...

— Przecież dopiero zaczęliśmy!—zawołał pastor, pełen słodkiego poczucia nieograniczonej władzy.— Ledwośmy zaczęli! Pomyśl pan, ile dobrego możemy zdziałać. Kiedy ludzie obudzą się...

— Tylko, że... — obstawał przy swoim mister Fotheringay.

Pastor uchwycił go nagle za ramię. Oczy zaśkrzyły mu się dziko.

— Drogi chłopcze!—zawołał—niema pośpiechu— patrz...—i wskazał palcem księżyc—Jozne!

— Jozne?—zapytał mister Fotheringay.

— Joznel—rzekł triumfalnie pastor.— Czemu nie? Zatrzymaj księżyc!

Mister Fotheringay spojrział w górę.

— To jest nie byle co—zauważył po chwili.

— Ale czemużby nie?—nalegał mister Maydig.—

On się przecież nie zatrzyma. Zahamuje pan tylko ruch obrotowy ziemi, rozumie pan? Czas stanie. Nic w tem nie będzie złego.

— Hm! Dobrze — rzekł mister Fotheringay.— Spróbuję. Więc...

Zapiął marynarkę i zwrócił się do globu ziemskiego z pełnem zaufaniem we własną siłę:

— A teraz dość tego kręcenia się, dobrze?!

W tej samej chwili poleciał głową naprzód przez powietrze, z szybkością dwunastu mil na minutę. Zataczając niezliczoną ilość kół na sekundę, mister Fotheringay myślał. Gdyż myśl jest cudownem zjawiskiem—czasem ciągnie się, jak smoła, czasem jest błyskawiczna, jak światło. Myślał sekundę:

...Chcę spaść żywy i zdrowy. Cokolwiek się stanie, chcę spaść żywy i zdrowy.

Był już najwyższy czas, aby właśnie tego zażądać, gdyż ubranie cudotwórcy, rozgrzane szalonym tarcieciem powietrza, poczęło się palić. Spadł na ziemię z wielkim rozpędem, nie uczyniwszy sobie nic złego, na świeżo usypany wał ziemny. Wielka masa muru i metalu, przypominająca wieżę kościelną, spadła na ziemię obok niego i odskoczyła, rozprysnąwszy się na cegły, kamienie i odłamki wapna, jak wybuchająca bomba.

Straszliwe uderzenie rozgniotło wielki blok kamienny, jak jajko. Rozległ się trzask i gruchot, wobec którego wszelki hałas, jaki mister Fotheringay słyszał kiedykolwiek w życiu, był szelestem opadającego piórka, a po nim nastąpiła cała serja dalszych trasków i gruchotów. Straszliwy wiatr leciał

przez ziemię i niebo tak, że z wielkim trudem cudotwórcy udało się unieść głowę. Przez chwilę stracił dech i był tak zdumiony, że nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie jest i co się stało. Dotknął ręką głowy, chcąc się przekonać, czy ma wszystkie włosy—to był pierwszy jego odruch.

— Boże!—wymówił z trudem, gdyż wiatr wytknął mu zpowrotem słowa do gardła. — To ci dopiero harmider! Coś się popsuło? Burza i pioruny. A przed chwilą śliczna noc! To Maydig namówił mnie na takie głupstwo. Co za wiatr! Jeżeli tak dalej potrwa, na pewno mnie piorun trzaśnie!... Gdzie jest Maydig?

Rozejrzał się dookoła, na ile tylko pozwoliły mu powiewające poły zakietu. Świat wyglądał niezwykle.

— Niebo, zdaje się, jest w porządku—stwierdził mister Fotheringay.—I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie ten wściekły wiatr. Księżyc przecież świeci nad głową. Tak, jak przed chwilą. Jasno, jak w południe. Ale jeżeli chodzi o resztę... Gdzie jest miasto? Gdzie jest — gdzie jest wszystko? I skąd się bierze ten djabelski wiatr? Wcale przecież nie kazałem, żeby był wiatr.

Mister Fotheringay stoczył bezpłodną walkę z wichurą, chcąc stanąć prosto, i wywróciwszy się, pozostał na czworakach. Przyglądał się księżycowi pod wiatr, a poły zakietu powiewały mu nad głową.

... Coś się popsuło—myślał.—Ale co? Bóg raczy wiedzieć.

Daleko i szeroko nic nie było widać w oslepiającym zamęciu. Wicher z rykiem unosił mgłę pyłu, wirujące zwały ziemi, stosy podruzgotanych ruin. Nigdzie drzewa, nigdzie domu, nigdzie znajomego kształtu; wszędzie dziki zamęt, ginący w ciemno-

ściach, wirujące trąby powietrzne i potoki, błyskawice i pioruny, jak podczas rozszalałej burzy. Koło mistra Fotheringay'a w bladej poświacie leżało coś, co może niegdyś było wiązem: skłębiona masa drzazg i drzewa, drżąca od szczytu do korzeni; a dalej—spiętrzony stos żelaznych sztachet.

Rozumiecie, kiedy mister Fotheringay zatrzymał krążenie ziemi dookoła słońca, nie zrobił on żadnych zastrzeżeń, dotyczących ruchu przedmiotów na jej powierzchni. A ziemia kręci się tak prędko, że punkt na równiku przebywa około tysiąca mil na godzinę, a w naszej szerokości geograficznej—o pół raza więcej. Wskutek tego miasteczko i mister Fotheringay, i mister Maydig, i wszyscy i wszystko zostało wyrzucone przed siebie z szybkością dziewięciu mil na sekundę — czyli o wiele prędzej, niż gdyby ich wystrzelono z armaty. I każda istota ludzka, każde stworzenie, dom i drzewo — cały znajomy nam świat — leciał przed siebie, rozbijał się i roztrzaskiwał. To wszystko.

Mister Fotheringay nie zdawał sobie rzeczywiscie sprawy z istotnego stanurzeczy. Rozumiał tylko, że ten cud nie udał się i to go napełniło niechęcią do cudów wogóle. Znajdował się w ciemnościach, gdyż nadbiegły chmury i zakryły odrazu księżyc, a powietrze było pełne wirujących szczątków różnych przedmiotów. Wielki szum wichru i wody napełnił powietrze. Nieszczęsny cudotwórca, osłaniając się dłonią od pyłu, śniegu i deszczu, ujrzał w świetle błyskawicy ogromny wał wodny, zbliżający się ku niemu.

— Maydig! — jęknął mister Fotheringay, wśród rozszalałych żywiołów—Maydig!—Stań!—zawołał do zbliżającej się wody.—Na miłość boską, zatrzymaj się!—Chwileczkę — powiedział mister Fotheringay do błyskawic i grzmotów. — Zatrzymajcie się na

chwile, póki nie zbiore myśli... Co tu robić? Co robić?.. Boże! Chciałbym, żeby Maydig był ze mną. — Wiem! — zawołał nagle. — I na miłość boską, niech mi przyjdzie coś na myśl natychmiast.

Stał wciąż na czworakach, walcząc z wiatrem i skrupulatnie szukając jakiejś rady.

— Ach! — zawołał. — Niech nic się nie dzieje, póki nie przyjdzie mi coś do głowy i póki nie powiem: — „Już!” — Boże! czemu nie pomyślałem o tem wcześniej!

Nateżał swój mały głosik pośród zawieii, krzyząc głośniej i głośniej, usiłując napróżno usłyszeć siebie samego.

— A teraz, uważaj! słuchaj, co teraz powiem! Przedewszystkiem, kiedy powiem wszystko, co mam do powiedzenia, zabierz mi tę czarodziejską siłę, daj mi chcieć akurat tyle, ile chcą inni ludzie, i niech ustaną te wszystkie niebezpieczne cuda. Nie podobają mi się. Lepiej niech ich nie robię. To, po pierwsze. A po drugie — chcę się znaleźć przed czasem, nim się te cuda zaczęły; niech wszystko będzie tak, jak było, nim ta przekłeta lampa przewróciła się do góry nogami. To będzie wielka robotą, ale już ostatnia. Zrobione? I więcej bez cudów! Wszystko tak, jak było! A ja niech się znajdę „Pod długim smokiem”, nimem jeszcze wypił swój półkwaterek. Tak! To wszystko!

Tknął palcem w ziemię, zamknął oczy i powiedział:

— Już!

Zrobiła się wielka cisza... Poczuł, że stoi wyprostowany...

— Tak pan sądzi? — powiedział jakiś głos.

Otworzył oczy. Był w barze „Pod długim smokiem”, dyskutując o cudach z Toddym Beamish. Miał uczucie, że zapomniał czegoś wielkiego, co



zresztą odrazu przeminęło. Rozumiecie, że skoro mister Fotheringay stracił swoje właściwości cudotwórcze, a wszystko wróciło do dawnego stanu, to i pamięć jego cofnęła się aż do chwili, gdyśmy rozpoczęli to opowiadanie. Tak, że mister Fotheringay nie mógł pamiętać niczego, o czym się tutaj mówiło. I w dalszym ciągu, niewątpliwie, nie będzie on wierzył w cuda.

— Powiadam wam, że cudów, we właściwym tego słowa znaczeniu, niema i być nie może—dowodził.—Mogę wam tego dowieść.

— Tak pan sądzi?—powiedział Toddy Beamish, —Niech pan udowodni, jeżeli pan potrafi.

— Niech pan spojrzy, panie Beamish—rzekł mister Fotheringay. — Zastanówmy się, czy jest cud? Jest to coś sprzecznego z prawami natury...



KONIEC



SPIS RZECZY:

	str.
Kraina ślepców . . . . .	3
Królestwo mrówek . . . . .	35
Z mateczką na Mörderbergu . . .	57
Kryształowe jajko . . . . .	73
Eliksir przyśpieszający . . . . .	96
Niedoświadczone widmo . . . . .	116
Człowiek, który robił cuda . . . .	134



# List zwrotny DO BIBLIOTEKI GROSZOWEJ

w Warszawie  
ul. Moniuszki 11.

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego

## Biblioteka Groszowa.

Należność, z przesyłką pocztową;  
z dodatkami dla młodzieży  
oraz z magazynem nHP:

Za kwartał . . . . zł. 9 gr. 95  
„ miesiąc . . . . zł. 3 gr. 35  
„ kwartał w oprowie zł. 13 gr. 95  
„ miesiąc „ zł. 4 gr. 80

jednocześnie przesyłać przekazem  
(P. K. O. 11.140).

Proszę pobrać za zaliczeniem pocztowym, z doliczeniem kosztów zaliczenia

Wiersz nie-  
potrzebny  
przekreślić.

Imię i nazwisko.....

Adres .....

prosimy wyciąć.

Zamówienie

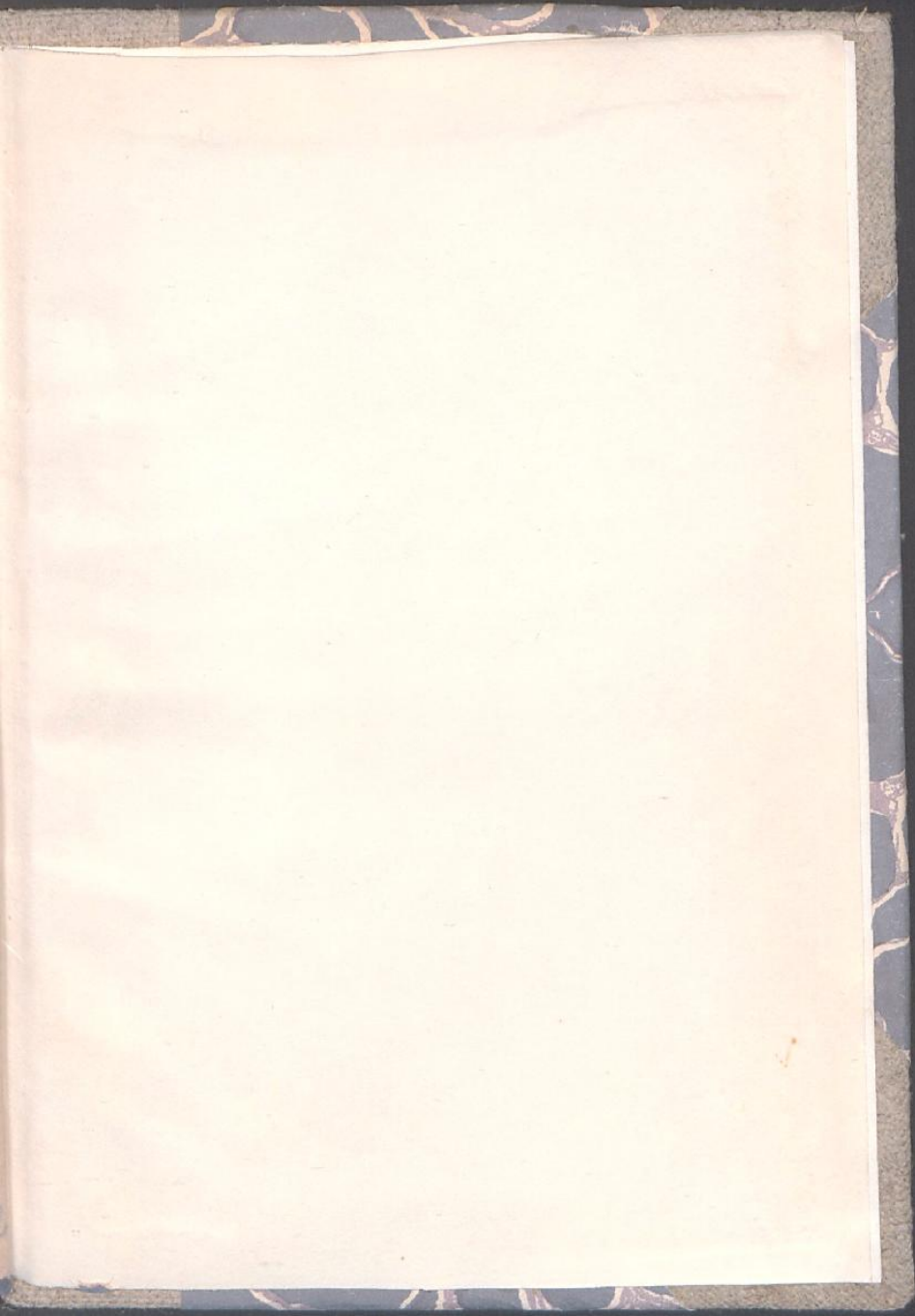
Do

*Biblioteki Groszowej*

*S-ka z ogr. odp.*

w WARSZAWIE

*ul. Moniuszki 11/1.*





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020668943



1460765